

Cena 5 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245

MP

Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze



Nr 3 (150)
Radom
maj-
-czerwiec
2015

**Na okładce:**

Kamienice na rogu ulic Żeromskiego i Witolda
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
31.05.2015 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 3 (150)
Radom, maj–czerwiec 2015
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Temat numeru:

Lato. Bo będzie za późno

Redaguje zespół w składzie:

Anna Skubisz-Szymanowska
– redaktor naczelna



Agata Morgan
– sekretarz redakcji



Halina Bogusz
– korekta



Mariusz A. Dański
– dyrektor artystyczny



S. Zbigniew Kamieński



Jerzy Kutkowski



Krzysztof Majerczyk



Ilona Michalska-Masiarz



Michał Płoski



Grzegorz Sasin



Anna Spółna



Mieczysław Szewczuk



Robert Utkowski

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 362 67 35
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

**Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem
(prom.mbpradom@op.pl)**

OD REDAKTORA

Znajomy powiedział mi, że nie zdążył. Nie zdążył z wieloma sprawami, a potem było za późno. Teraz ma poczucie straconych szans, niezatakwionych spraw, niewyjaśnionych relacji z innymi osobami. I już nic nie da się zrobić, bo nie ma powrotu do minionego. Poszło, przepadło, przeminęło. Starożytna prawda o niemożności wejścia dwa razy do tej samej rzeki znówu dała o sobie znać w doświadczeniu mojego znajomego.

Ale czy nie jest to doświadczenie uniwersalne? Czy nie wszyscy żyjemy z przeświadczeniem, lub choćby z niepokojem, że uciekło nam coś bardzo ważnego, z czymś najistotniejszym nie zdążyliśmy? Nie wrócą sytuacje i zdarzenia, które mogliśmy wykorzystać inaczej, nadać im inny bieg i znaczenie na przyszłość. Ludzie są w innych miejscach, wśród innych osób, lub odeszli tak daleko, że dalej nie można... i jest za późno.

Andrzej Stasiuk w rozmowie z Dorotą Wodecką powiedział: „[...] zaprzęta mnie myśl, że nie zdążę na przykład. Z czym? Z życiem. Że nie zdążę przeżyć tego wszystkiego, na co mam apetyt, bo tego jest za dużo i nie zmieści się w jednym życiu. Nie napiszę wszystkich książek, nie przeżyję wszystkich dni, nie spotkam się z bliskimi ludźmi w wystarczającym natężeniu”.

Tak, wszystko „nie zmieści się w jednym życiu”. A gdybyśmy mieli życie drugie i kolejne, i kolejne, czy to by coś zmieniło? Nie sądzę. Wszak człowiek w istocie swojej jest niezmienny, niereformowalny i bardzo opieszwały nawet w wyciąganiu wniosków z własnych błędów i zaniedbań.

A tymczasem, mili Państwo, lato. Bo będzie za późno...

Anna Skubisz-Szymanowska

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2015 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia

SPIS TREŚCI

- 1 | *Od redaktora*
Anna Skubisz-Szymanowska
- GrandFront 3 | *Wyróżnienie dla „MP”*
- SZKIC 5 | *O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta siódma)*
Stanisław Zbigniew Kamieński
- ESEJ 11 | *Drabina (część XV)*
Michał Płoski
- RECENZJA 14 | *Młodego Józefa Tischnera „niewielkie pomieszczenie klepek”*
Łukasz Prus
- PLASTYKA 18 | *O albumie Jacek i Rafał Malczewscy*
Mieczysław Szewczuk
- 21 | *Dialog warsztatu z cyfrą po raz drugi w Radomiu*
Lidia Ziemińska
- 25 | *Wykorzystajmy-To-Co-Już-Mamy...*
Anna Kacprzak
- GALERIA PROWINCJONALNA 29 | *Adam Nowaczyk*
- WYWIAD 39 | *Jestem przede wszystkim czytelnikiem...*
Ilona Michalska-Masiarz
- WYDARZENIA 42 | *Rozmowy z kobietami. 38. Radomska Wiosna Literacka*
Martyna Bielińska
- FELIETON 47 | *Lato. Bo będzie za późno*
Robert Utkowski
- POEZJA 48 | *ROBERT UTKOWSKI*
- TEATR 50 | *Ciesz się tym, co masz...*
Krystyna Kasińska
- KINO 53 | *Widziadła i maski*
Grzegorz Sasin
- Z KART HISTORII 57 | *Idzie...*
Marta Trojanowska
- 59 | *W walce z Moskalami i... cholera*
Janusz Wieczorek
- PRO MEMORIA 61 | *Tadeusz Wydra*
- KRONIKA 62 | *kwiecień–maj 2015*

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE ADAMA NOWACZYKA

WYRÓŻNIENIE

w kategorii czasopisma lokalne
w konkursie Izby Wydawców Prasy
na Prasową Okładkę Roku

GrandFront²⁰¹⁴

MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

nr 1/2014

Organizator Konkursu



Sponsor nagrody

press

Przewodniczący Jury

Wiesław Podkański

Prezes Izby Wydawców Prasy



„Miesięcznik Prowincjonalny” zdobył wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie na okładkę prasową!

W XIII Konkursie Izby Wydawców Prasy na Prasową Okładkę Roku GrandFront 2014 radomski „Miesięcznik Prowincjonalny” zdobył wyróżnienie za okładkę nr 1/2014, której autorem jest Stanisław Zbigniew Kamieński, a autorem typografii Aleksander Olszewski. „Miesięcznik Prowincjonalny” wydawany jest od 16 lat przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Radomiu, a jego redaktorem naczelnym nieprzerwanie jest Anna Skubisz-Szymanowska.

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 18 maja 2015 r. w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, które od dwóch lat jest także współorganizatorem konkursu. W konkursie rywalizują ze sobą zarówno najciekawsze okładki i „jedyńki” gazet, jak i ich elektroniczne wydania. GrandFront sygnuje pomysły, które wyznaczają jakość i trendy w redagowaniu graficznym polskiej

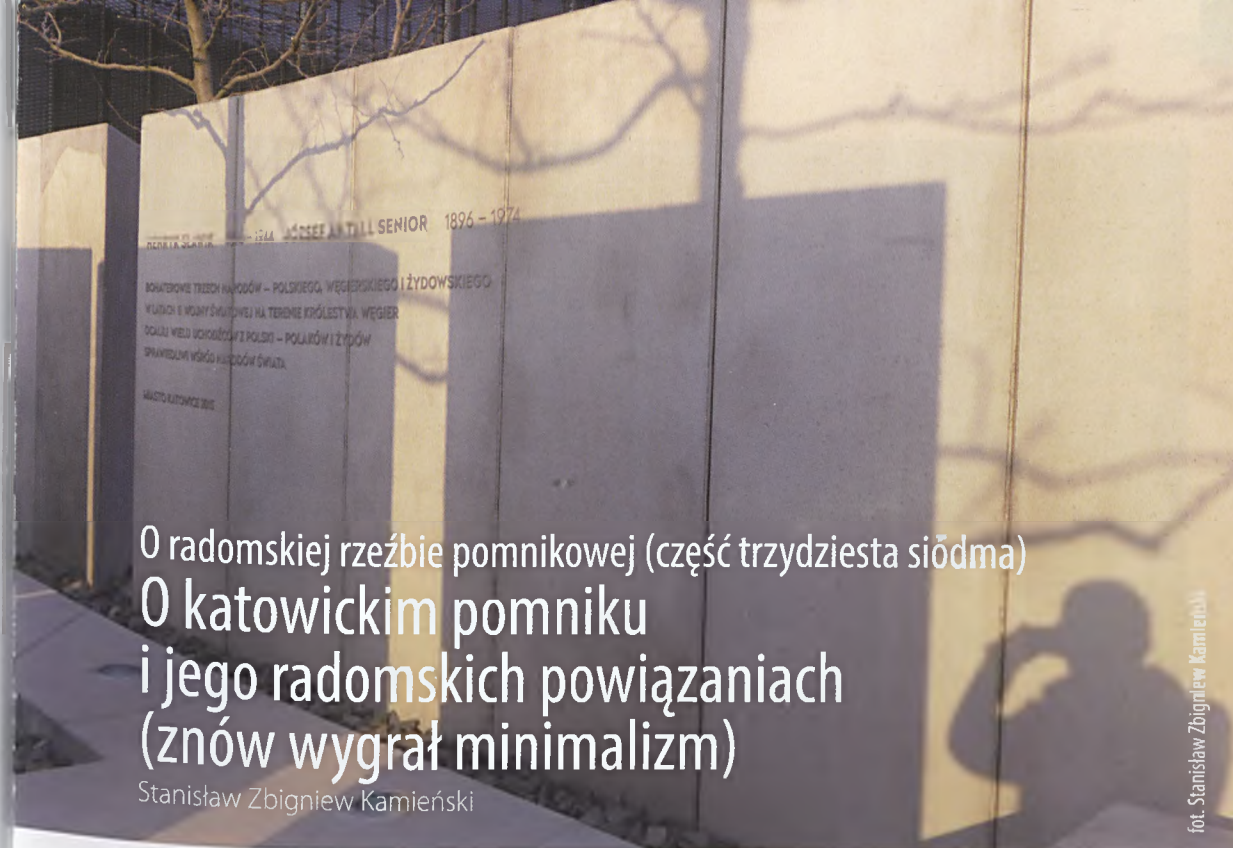
prasy. Do rywalizacji o miano najlepszej okładki 2014 roku zgłoszono aż 374 okładki w ośmiu kategoriach dla prasy drukowanej. Zgłosiły je zarówno redakcje pism lokalnych, jak i ogólnokrajowych. Zwycięzców konkursu wyłoniło jury, w którym zasiadają uznani twórcy grafiki prasowej – dyrektorzy artystyczni, wykładowcy uczelni plastycznych, fotograficy oraz wydawcy.

Najlepsze okładki wyłonione w poszczególnych kategoriach od 19 maja przez miesiąc oglądać można na wystawie przy ul. Foksal 3/5 w Warszawie. Ponadto zwycięskie prace prezentowane będą multimedialnie w salonach EMPIK. Wszystkie zgłoszone do konkursu strony tytułowe można obejrzeć także na stronie internetowej Konkursu www.grandfront.pl.

Patronat nad Konkursem objęło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Stanisławowi Zbigniewowi Kamieńskiemu gratulujemy udanego pomysłu na okładkę.

Redakcja



O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta siódma) O katowickim pomniku i jego radomskich powiązaniach (znów wygrał minimalizm)

Stanisław Zbigniew Kamieński

Dlaczego postanowiłem napisać dla radomskiego pisma o wydarzeniu, którego byłem niedawno świadkiem w Katowicach? Zapewne z perspektywy różnych innych osób nie musi mieć owo wydarzenie, a jest nim odsłonięcie pomnika, cokolwiek z Radomiem wspólnego, ale z mojego prywatnego punktu widzenia – ma wiele. Zdarzają się sytuacje i towarzyszące im zbiegi okoliczności, które sprawiają, że leżące daleko miejsca i obcy sobie ludzie zbliżają się do siebie, zaś odległe idee, cele i dążenia stają się wspólne i bliskie, choć nie wszyscy muszą to od razu, czy nawet kiedykolwiek odczuwać i dostrzegać. Istnieje tyle innych, ważnych dla kogoś innego powiązań.

Pomnik Henryka Sławika i Józsefa Antalla seniora (autorstwa Jana Kuki i Michała Dąbka), bo to o nim mowa, jest architektonicznie zorganizowaną przestrzenią krótkiego korytarza o betonowej nawierzchni pod otwartym niebem, przestrzenią ograniczoną dwoma dziesięcio-, może kilkunastometrowymi

ścianami z szarego betonu, grubości ok. 40 cm, wysokości 2,5 m każda. Odległość między nimi wynosi około trzech metrów, wszystkie pomiary przeprowadziłem, jak to się mówi, na oko. Z jednej strony korytarz jest otwarty, można wejść do środka, z drugiej zamyka go kłoda betonowego prostopadłościanu, coś jak kamienna tawa, na której można usiąść. W betonowej nawierzchni między ścianami utworzono kwadratowy otwór, w którym rośnie drzewo, podobnych kilka drzew rośnie na zewnątrz, blisko pomnika, ich gałęzie wystają ponad ściany obiektu. Gdy odbywała się uroczystość odsłonięcia pomnika 21 marca tego roku, na gałęziach nie pojawiły się jeszcze liście, nie było nawet śladu pączków; szarozielone drzewa, niewiele różniące się barwą od swojego otoczenia, wyglądały w tym kontekście czy sąsiedztwie przejmująco; wobec prostych krawędzi betonowych ścian rysunek powyginanych gałęzi zdaje się znaczący, pełen dramatycznego napięcia. Jak zmienia się wymowa obiektu, gdy drzewa wypusz-

czą liście, gałęzie pokryją się świeżą zielenią? Zapewne duch miejsca stanie się wówczas, do czasu nadejścia jesieni, bardziej optymistyczny, dopóki Persefona nie zejdzie na powrót do podziemi Hadesu.

Szare ściany, z zewnątrz błyszczące, od środka matowe, nie są jednolicie gładkie ani po zewnętrznej, ani po wewnętrznej stronie; pionowe albo zbliżone do pionów linie skośne, biegnące przez całą wysokość ścian, dzielą ich płaszczyzny na części. W ścianach są także prześwity pod różnymi kątami: w jednej trzy, a w drugiej jeden, tędy można także wejść, a przynajmniej spojrzeć do środka. Ziemia dookoła obiektu wyłożona jest ziarnistym, czarnym asfaltem albo wysypana szarymi kamieniami o ostrych krawędziach, po których niełatwo chodzić; te nawierzchnie wydają się nieprzyjaznymi bezdrożami. Gładka, betonowa droga, wiodąca między szare ściany, rysuje się w tym otoczeniu jasną wstęgą. Sprawiając wrażenie bezpiecznego przejścia.

Nie jestem entuzjastą takich rozwiązań pomnikowych, dziś modnych, niemal powszechnie obowiązujących. Nazywam je ironicznie – „pomnikami z metra” (choć nie obowiązuje już pewnie PRL-owski cennik, który miał zasadniczy wpływ na wymiary realizowanych projektów rzeźbiarskich i pomnikowych – obiekt, przekraczający pewną określoną wysokość, był znacznie lepiej wyceniany niż nieco mniejszy). W międzynarodowym konkursie na projekt pomnika katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem, rozstrzygniętym trzy lata temu (o czym pisałem w „MP” nr 2/131, 2012), jury przyznało pierwszą nagrodę podobnej propozycji z ducha minimalizmu, o którym Dorota Jarecka (z „Wyborczej”) napisała wówczas pod tytułem „Szczęśliwie wygrał minimalizm”, że tamto rozwiązanie zakłada tylko dwa główne elementy – drogę i mur. Katowicki pomnik składa się z podobnych elementów – dwóch ścian, pomiędzy którymi

powstaje droga; są jeszcze drzewa. Na obu ścianach od wewnątrz umieszczony został ten sam napis; z jednej strony – w języku polskim, z drugiej – węgierskim: HENRYK SŁAWIK 1894–1944 JÓZSEF ANTALL 1896–1974 / BOHATEROWIE TRZECH NARODÓW – POLSKIEGO, WĘGIEŃSKIEGO I ŻYDOWSKIEGO / W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ NA TERENIE KRÓLESTWA WĘGIER / OCALILI WIELU UCHODźCÓW Z POLSKI – POLAKÓW I ŻYDÓW / SPRAWIEDLIWI WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA / MIASTO KATOWICE 2015. Obok napisów znajdują się, powiększone na całą wysokość ścian, portrety – Sławika po stronie polskiego napisu i Antalla obok węgierskiego tekstu, przypominające czarno-białe, spłowiałe zdjęcia. Wykonane zostały w ten sposób, że światło odgrywa pewną rolę w ich zobaczeniu i odczycie, nie z każdego miejsca jest to możliwe, nawet gdy stoi się blisko obiektu: twarz pojawia się i krok dalej – znika.

Minimalistyczne tendencje, dochodzące coraz silniej do głosu w konkursach na projekty pomników, zmierzają do upowszechnienia idei, którą można określić jako umieszczanie albo raczej zawieszanie komunikatu w przestrzeni. Umieszczanie wymaga konstrukcji, na której można oprzeć słowa komunikatu, zawieszanie zmierza do tego, aby konstrukcja nie istniała fizycznie, a w każdym razie była zamaskowana, zaś komunikat unosił się niemal samoistnie w powietrzu. Do czego zmierza owa tendencja, odnosząca się również do innych obszarów komunikacji pomiędzy ludźmi – korespondencji, rozmów, spotkań? Do eliminacji formy. Ktoś, ograniczając kwestię tylko do pomników, może zaprzeczyć – przecież betonowa płyta, kamienna ściana posiadają swoją formę. Owszem, ale to forma bez konkretnego wyrazu czy przesłania; jedynym apelem, z jakim potrafi zwrócić się do nas, to – jestem gotowa udźwignąć wszystko, każdą treść. Jaką – to jest mi już obojętne. Być



Michał Luty w rozmowie z prezydentem Węgier Jánosem Áderem, Katowice 21.03.2015 r.

może w niedługim czasie nowe technologie pozwolą zawieszać świetlne czy utworzone np. ze skondensowanego pyłu komunikaty w przestrzeni, bez pomocy materialnych konstrukcji. Czy w tę stronę zmierza współczesna myśl projektantów pomników? Posłużę się tu wypowiedzią malarza i rzeźbiarza Jacka Waltosia: „Mam takie poczucie, że świat daje się wyrazić, pochwycić, przeczucić tylko przez formę. Kiedy jej nie ma, wszystko jest bezradne”. Niepokoi mnie tendencja eliminująca z naszego życia formę utożsamiającą się z treścią komunikatu i zastępująca ją namiastką formy, która nie posiada wyrazistego kształtu, konkretnej, własnej struktury i materii.

Pomimo mojego krytycyzmu wobec mody na minimalistyczne tendencje w projektowaniu pomników jestem pozytywnie nastawiony do polsko-węgierskiego pomnika w Katowicach, co zresztą jest chyba czytelne w moim, zdawałoby się obiektywnym opi-

nie obiektu. Wynika to niewątpliwie stąd, że czekając od dawna na uczczenie w ten sposób obu bohaterów, gotów jestem zaakceptować każdą niemal formę wyrażającą uznanie wobec ich postawy, hołd dla ich działalności. Metafora bezpiecznej drogi pomiędzy ścianami heroicznych osobowości Henryka Sławika i Józsefa Antalla wydaje mi się czytelna i przekonująca, choć jednocześnie zdaję sobie sprawę, że owa forma jest tak ogólna, iż mogłaby wyrażać każdą niemal treść, wszystko. A skoro może wyrażać wszystko, to być może, sama w sobie, nie wyraża nic? Racje, które podsuwa tzw. zdrowy rozsądek, czy spojrzenie chłodnym okiem pozostają w opozycji wobec radości, że mamy wreszcie pomnik Sławika i Antalla. Czy zresztą nie doświadczamy po wielokroć podobnych rozterek, gdy nastawienie do jakiejś ogólnej kwestii pozostaje w sprzeczności z oceną bliskiego nam konkretnego przypadku, właśnie tę kwestię reprezentującego?

Napis na ścianach pomnika wyjaśnia najogólniej i pozwala domyślać się, kim byli jego bohaterowie. Również bardzo ogólnie powiem jednak cokolwiek więcej na ich temat. Henryk Sławik, uczestnik powstań śląskich, działacz PPS i dziennikarz, przedostał się po wybuchu wojny w 1939 r. na Węgry, gdzie rozpoczął współpracę z Józsefem Antalliem, wyższym urzędnikiem tamtejszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, oddelegowanym do zorganizowania opieki nad polskimi uchodźcami. Ich działalność przyczyniła się w znacznej mierze do ocalenia co najmniej 5 tys. polskich Żydów, inne szacunki pozwalają mówić o 10–14 tys. osób. Aktywność i zasługi Sławika i Antalla przy organizacji szkolnictwa, życia społecznego i kulturalnego Polaków na Węgrzech w tamtym czasie są również nie do przecenienia. Po wkroczeniu wojsk niemieckich w 1944 r. na Węgry Sławik i Antall zostali aresztowani przez gestapo; Sławik, torturowany, całą odpowiedzialność za ratowanie Żydów wziął na siebie i w ten sposób uratował Antalla od śmierci. Po brutalnym śledztwie został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen i tam powieszony razem z innymi działaczami polskiego uchodźstwa na Węgrzech. W powojennej Polsce Henryk Sławik okazał się dla komunistów przeciwnikiem politycznym, co wydawać się może niepojęte, a jednak jako aktywista PPS-u, niezależny socjalista i działacz niepodległościowy został skazany na niepamięć. Podobnie na Węgrzech był traktowany József Antall. Jego wnuczka Klara Héjj studiowała na Uniwersytecie Warszawskim polonistykę. Wyszła za mąż za Węgry, także studiującego w Polsce, w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, Pétera Gémesa, który robił dyplom w tej samej pracowni litografii na Wydziale Grafiki co ja, tylko rok później. W ten sposób poznaliśmy się i zostaliśmy przyjaciółmi. Péter, zanim jeszcze ożenił się z Klarą, by-

wał u nas w Radomiu, pożyczał mi nawet klucze do swojego budapesztańskiego mieszkania; mogłem wtedy chodzić do Muzeum Sztuk Pięknych i oglądać tamtejszą świetną kolekcję malarstwa europejskiego. Chyba tam właśnie widziałem pierwszy raz w oryginale obrazy Giorgiona, El Greca, Pietera Bruegla Starszego, Tintoretta, Velásqueza, Goi, Corota i tylu innych. Uznałem wówczas Budapeszt, arbitralną decyzją młodości, za jedno z najpiękniejszych miast Europy, ba – całego świata, nie znając innych wspaniałych, malowniczo położonych miast. A i teraz przyznaję, że choć nie poznałem ich później za wiele, ale w pamiętającej wyobraźni czy podsycanej wyobraźnią pamięci zgromadziłem obrazy kilkunastu europejskich metropolii i ukształtowałem własny gust urbanistyczno-architektoniczny i poczucie zorganizowanej na wiele sposobów przestrzeni miejskiej; jednak Budapeszt pozostał dla mnie owym centrum świata związanym z różnymi okresami mojego życia, gdzie czuję się dobrze o każdej porze roku. Na pewno dom Pétera i Klary (wysoko na wzgórzach Budy) miał ogromny wpływ na tak odczuwaną, prywatną moją geografę.

Na początku lat 90. XX w. odbywały się nasze wspólne wystawy na Węgrzech i w Polsce, w 1990 r. w niewielkim mieście Vác nad Dunajem i trzy lata później w Radomiu. Mało wówczas wiedziałem o losach Polaków na Węgrzech w czasie wojny, a o Antallu i Sławiku nie słyszałem jeszcze nic; nie wiedziałem, że właśnie w Vácu miało swoją siedzibę schronisko dla polskich sierot, założone przez Komitet Obywatelski do Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech, którego prezesem był Henryk Sławik. Być może Gyula Hincz Gáléria, gdzie mieliśmy wówczas wystawę, mieściła się w pobliżu owego sierocińca, bo stara część Vácu zajmuje niewielki obszar.

Potem, już z rodziną, przyjeżdżaliśmy do Klary i Pétera, nasze i ich dzieci nie zawsze



foto: Stanisław Żbigniew Kamieński

umiały znaleźć wspólny język w czasie zabaw; kiedyś Klara dała im w takiej sytuacji słownik węgiersko-polski i polsko-węgierski i tym sposobem zaradziła nieporozumieniom. Chodziliśmy czasem na spacer na pobliski cmentarz Farkasrét, co – jak dowiedzieliśmy się od naszych polskojęzycznych Węgrów – można tłumaczyć jako „pole wilków”; wyobraźnia gotowa jest od razu podsuwać niepokojące obrazy tego miejsca przed wiekami. Dziś nekropolia, zajmująca rozległy teren, jest wielką plenerową wystawą rzeźby nagrobnej. W odróżnieniu od polskich cmentarzy dużo tu rozwiązań indywidualnych i niebanalnych, śmiało można powiedzieć – dzieł sztuki. Dostrzec można także dużą różnicę w podejściu do życia ziemskiego tu i u nas, w Polsce; tutaj przyznaje mu się większą wartość i urok niż tylko przedśionka do życia wiecznego. Oczywiście, ciekawe rzeźby nie pojawiają się na każdym kroku, trzeba ich szukać, rozglądać się, tym bardziej intrygujące wydawały się nam spacer po Farkasrét. Za którymś razem natrafiliśmy na dość

skromny grób z ziemną rabatką, gdzie rosły czerwone i białe kwiatki, z tyłu pionowej kamiennej płyty umieszczony był napis – POLONIA SEMPER FIDELIS. To nas zainteresowało, chcieliśmy dowiedzieć się, kim był pochowany tam Dr ANTALL JÓZSEF, któremu Polska jest i pozostanie zawsze wierna. Wówczas dowiedzieliśmy się o jego działalności w czasie wojny i, ku naszemu zaskoczeniu, okazało się, iż był on dziadkiem Klary. Wcześniej ani Klara, ani Piotr nie wspominali nam o tym. Mijały kolejne lata. Péter poważnie zachorował, zmarł w wieku 45 lat i został pochowany na cmentarzu Farkasrét (w pobliżu grobu Béli Bartóka, niezbyt daleko od grobu Zoltána Kodály'a, który był profesorem, mistrzem i współpracownikiem mamy Pétera). Nie zdążyliśmy zrealizować planów kolejnych wspólnych wystaw, jednak znajomość z Klarą przetrwała trudny czas po Pétera śmierci.

Któregoś razu pod koniec 2009 r. odwiedził nas w Radomiu mój kolega z liceum, Michał Luty, jadąc do swojej rodzinnej wsi niedaleko

Pionek. Po studiach Michał zamieszkał w Katowicach, tam zaczął działać w tzw. opozycji demokratycznej, a po upadku ustroju komunistycznego został wybranym (dziś pełni tę funkcję już po raz czwarty, trzy razy był wiceprezydentem Katowic). Michał zaangażował się w przywrócenie społecznej pamięci o osobie Henryka Sławika, zabiegał w Kancelarii Prezydenta RP o odznaczenie go Orderem Orła Białego. Starania długo nie odnosiły skutku, ale Michał nie należy do łatwo zniechęcających się. Osiągnął w końcu swój cel i wówczas dowiedział się, że prezydent gotów jest również odznaczyć węgierskiego współpracownika Sławika Józsefa Antalla. Dziś nie pamiętam już, czy tamto nasze spotkanie w Radomiu miało miejsce, zanim podjęto decyzję o odznaczeniu ich obu, czy jeszcze w trakcie starań o te najwyższe wyróżnienia. W każdym razie, podobnie jak my byliśmy kiedyś zaskoczeni wiadomością, że Klara jest wnuczką Józsefa Antalla, tak potem Michałowi, opowiadającemu nam o swoich zabiegach w sprawie Henryka Sławika, trudno było uwierzyć, że znamy rodzinę Antalla, z którą szukał kontaktu, i od lat jesteśmy zaprzyjaźnieni z jego wnuczką. Teresa od razu zatelefonowała do Klary w Budapeszcie, mówiąc jej o tym zbiegu okoliczności. Michał Luty ma także znaczny udział w pomyśle i doprowadzeniu do realizacji katowickiego pomnika. Właściwie na tym kończy się moja opowieść o zastanawiających przypadkach, które doprowadziły do tego, że cztery miesiące po naszej rozmowie z Michałem Lutym Klara Héjj odbierała w Katowicach z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego, w obecności Prezydenta Węgier László Sólyoma, najwyższe polskie odznaczenie przyznawane cudzoziemcom, Krzyż Wielki Orderu Zasługi RP, dla swojego zmarłego w 1974 r. dziadka. Kilka tygodni później Lech Kaczyński zginął w katastrofie samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem.

Na tegoroczną uroczystość odsłonięcia pomnika Klara przyjechała do Katowic z dorosłymi już dziećmi, ze swoją siostrą i dalszą rodziną. Przyjechała liczna grupa Polonii węgierskiej. W hotelu, w którym mieszkaliśmy, słyszało się na przemian język polski i węgierski. W nowej siedzibie NOSPR-u odbył się, bezpośrednio po odsłonięciu pomnika przez prezydentów Bronisława Komorowskiego i Jánosa Ádera, koncert; usłyszeliśmy wpięrsz suitę orkiestrową Artura Malawskiego „Hungaria 1956”, która stała się wtedy wyrazem polsko-węgierskiej solidarności w związku z sowiecką interwencją na Węgrzech, potem I koncert fortepianowy Ferencza Liszta i malowniczą suitę „Háry János” Zoltána Kodály’a. Dodam tylko na koniec, że tytuł partytury suit Malawskiego, wydanej pięć lat po skomponowaniu utworu w 1956 r., został wówczas oceniony, aby nie przypominał krwawych wydarzeń w Budapeszcie; pozostała sama „Hungaria”.

Podobnie jak niewygodne prawdy, tak i idee z tymi prawdami kojarzone muszą niekiedy długo czekać na sprzyjające okoliczności, aby ujawnić się światu i dojść po latach milczenia do głosu.

Stanisław Zbigniew Kamieński

Katowice 21 marca, Radom 23 marca – 9 kwietnia 2015 r.



Z notatnika malarza ikon Drabina (część XV)

Michał Płoski

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Maria urodziła się w Aleksandrii na początku VI w. Od 12. roku życia przez kilkanaście lat była prostytutką. Pewnego dnia dołączyła do grupy pielgrzymów płynących statkiem do Jerozolimy na święto Podwyższenia Krzyża. Nie miała pobożnych zamiarów, niemniej w dniu święta przeżyła duchowy wstrząs i odeszła za Jordan na pustynię, gdzie spędziła w samotności 47 lat, bez dachu nad głową, pozbawiona jakichkolwiek środków do życia. Marię spotkał wędrujący przez pustynię mnich Zosima. Wysłuchał jej opowieści. W następnym roku zmarła. Świętość Marii Egipcjanki potwierdziły cudowne okoliczności towarzyszące jej śmierci. Na ikonie widzimy siwowłosą pólnagą kobietę tak wychudzoną, że pod skórą widoczne są kości. Przed nią w głębokim pokłonie mnich, w tle pustynia.

W pierwszych wiekach naszej ery chrześcijaństwo współistniało z ciągle żywą kulturą cywilizacji grecko-rzymskiej. Napięcia pomiędzy dawną obyczajowością a upowszech-

niającym się chrześcijaństwem znalazły odbicie w życiu św. Augustyna (354–430 r.), opisanym przezeń w *Wyznaniach*. W okresie, gdy był młody, nietrwałe związki z kobietami oraz konkubinat akceptowane były przez niego i jego środowisko. Po nawróceniu stanowisko Augustyna zmienia się radykalnie: „Moja młodość była szczególnie obłądana, zwłaszcza sam jej świt, gdy tak Ciebie prosiłem o czystość obyczajów: »Daj mi czystość i umiarkowanie, ale jeszcze nie w tej chwili!«. Był we mnie lęk, że mógłbyś mnie rychło wysłuchać i od razu mnie uleczyć z choroby pożądania, które chciałem raczej nasycić niż zgasić. Kroczyłem drogą występków...”¹.

Istotną rolę w radykalnym zwrocie Augustyna ku chrześcijaństwu odegrały opowieści o abbie Antonim, ojcach pustyni i wczesnych wspólnotach monastycznych. Świadełstwo prostych koptyjskich chłopów zrobiło wielkie wrażenie na wykształconym retorze i umocniło

¹ Św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Z. Kubiak, Warszawa 1978, s. 142.

w przeświadczeniu, że może on porzucić swoje dotychczasowe życie. Wraz z decyzją przyjęcia chrztu zrezygnował z planów małżeńskich, pragnąc całkowicie poświęcić się Bogu.

Peter Brown, brytyjski badacz dziejów i kultury starożytności, autor dzieła *Ciało i społeczeństwo: mężczyźni, kobiety i abstynencja seksualna we wczesnym chrześcijaństwie*, tak charakteryzuje poglądy mnichów egipskich: „Kwestie pokus seksualnych najczęściej postrzegano w kategoriach fundamentalnej antytezy »pustyni« i »świata«. Pokusę cielesną często traktowano nieco lekceważąco, przedstawiając ją jako zwykły pociąg do kobiet, do małżeństwa, impuls zatem pchający fatalnie – poprzez małżeństwo – w objęcia struktury krainy zasiedlonej”².

Św. Jan Klimak, idący śladami ojców pustyni, już w pierwszym rozdziale *Drabiny raju* stwierdza: „kto jest żonaty, podobny jest do noszącego kajdany na rękach i nogach”³.

Problematyce „choroby pożądania”, że użyję określenia Augustyna, Klimak poświęca obszerny rozdział 15. swego dzieła, który poprzedza wstępem o znamienym tytule „O cielesnych żyjących na podobieństwo istot bezcielesnych”. Mnisi podejmują próbę upodobnienia się do aniołów. Jest to heroiczne wyzwanie rzucone światu kultury pogańskiej, zawierające jednakże w sobie pewien rys manichejski, rys odrzucenia cielesności, postrzeganej jako źródło zła. W rozdziale „O niezniszczalnej u niszczalnych czystości i powściągliwości zdobywanej w trudach i potach” znajdziemy odniesienia do wczesnej literatury ascetycznej, Pisma Świętego, a także do własnych wieloletnich doświadczeń duchowego ojca mnichów. Nie braku-

je tu surowych przestróg i rad dotyczących walki z demonem pożądliwości. Celem ascezy jest całkowite wyeliminowanie nie tylko nieuporządkowanych pragnień, ale także niewłaściwych marzeń sennych czy niezależnych od woli człowieka fizjologicznych przejawów seksualności – „Oto początek czystości: gdy rozum nie pozwala i pozostaje bez wyobrażeń, a jednak co pewien czas zdarza się zmaza. Stan pośredni czystości to naturalne poruszenia przy nadmiarze pożywienia, ale tylko takie powstałe bez wyobrażeń i bez wpływu. A spełnieniem jest umartwienie ciała po uśmierceniu nieczystych myśli”⁴.

Obok postu i właściwego odżywiania istotna jest postawa duchowa – pokora, pamięć o śmierci, niegniewliwość, nieosądzanie bliźniego. Jednocześnie Klimak kładzie nacisk na postawę zawierzenia Bogu – „Kto chce walczyć ze swoim ciałem czy z samym sobą zwyciężać, ten biegnie na darmo; bo jeśli Pan nie zwali domu cielesności i nie zbuduje domu duszy, to ten bezsilny nadaremnie czuwa i pości. Ofiaruj Panu tę słabość natury, uznając we wszystkim własną bezsilność, a niedostrzegalnie otrzymasz dar powściągliwości”⁵.

Grzechy przeciw VI przykazaniu uważane były za należące do najcięższych. Rozpustników ekskomunikowano, podobnie jak zabójców i apostatów, nakładając na nich surowe, długotrwałe pokuty. Wspomina także o tym Klimak⁶. Ta surowość wydaje się nam

⁴ Jak wyżej, s. 200.

⁵ Jak wyżej, s. 202.

⁶ Klimak pisze: „Ktoś docieklivy postawił przede mną straszne zagadnienie: Jaki grzech oprócz zabójstwa i wyparcia się Boga jest ze wszystkich najcięższy? Powiedziałem znękany: »Wpaść w herezję«. »Jak to zatem jest, mówi, że Kościół powszechny przyjmuje heretyków, gdy tylko przeklną swoje odszczepieństwo, i jako godnych dopuszcza ich do uczestniczenia w świętych obrzędach, a wyznającego grzech i powstrzymującego się od niego rozpustnika wyklucza na długo z dostępu do nieskalanych tajemnic stosownie do wskazań kano-nów apostołskich?«, *Drabina raju*, s. 205, 206.

dziś przesadna. Chętnie odwołujemy się do sceny z ósmego rozdziału Ewangelii św. Jana, kiedy do Pana Jezusa doprowadzono kobietę pochwyconą na cudzołóstwie, a on jej nie potępił. Znamienne, że teksty Nowego Testamentu, jakimi posługiwano się na Wschodzie, nie zawierały tej perykopy. Jednakże radykalizm, owe „trudy i poty” mnichów zabiegających o zapanowanie nad seksualnością, miały także istotny walor – prowadziły ku wnikanu w głębię ludzkiej osobowości. Profesor P. Brown zauważa: „Nieustanna świadomość ego jako istoty płciowej, po wieczne czasy wydanej na pastwę tęsknot seksualnych i niepokojonej – nawet w snach – seksualnymi fantazjami, rzucała światło na trudno dostępne rejonu osoby ludzkiej. Ale ta niedostępność nie miała charakteru li tylko fizycznego; wskazywała na głębię samej duszy. Pożądanie seksualne objawiło narośl nieprzezwycięzalnej prywatności w samym sercu upadłego człowieka. Tak zatem w nowym języku pustyni seksualność stała się jakby ideogramem serca nieotwartego”⁷.

Znamienne, że właśnie w 15 rozdziale *Drabiny raju* pojawia się wzmianka o modlitwie Jezusowej: „[...] niech śpi z tobą pamięć o śmierci i niech złączy się z tobą jednosłowna modlitwa Jezusowa, bo nic tak jak ona nie uratuje cię we śnie”⁸. Chodzi tu o nieustanne powtarzanie imienia Jezusa. Jest to forma modlitwy, powstała w środowisku ojców pustyni, a praktykowana w klasztorze św. Katarzyny. Mówi się o tak zwanej szkole synajskiej modlitwy Jezusowej. W późniejszych wiekach została rozwinięta i ugruntowana w środowisku mnichów z Góry Atos. Praktykowana jest po dziś dzień, upowszechniana również w środowiskach katolickich. Uważne powtarzanie imienia Jezusa w rytm oddechu pozwala na eliminację myśli i pogłębiające się, wraz z kontynuowaniem praktyki, wewnętrzne wyciszenie. Klimak pi-

szcze o stanie, który następuje po dłuższym okresie wytrwałej praktyki, gdy modlitwa ta jest kontynuowana mimowolnie, również we śnie. W imieniu Jezus łączy się Bóstwo i człowieczeństwo Chrystusa, powtarzając je, wkraczamy niejako w tajemnicę Wcielenia. Uważano, że imię to, wpisane w serce człowieka, daje moc przeobstwienia, zjednoczenia z Bogiem. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą (Mt 5, 8)”. Owo przeobstwienie czy zjednoczenie z Bogiem na drodze kontemplatywnej jest zasadniczą przesłanką wysiłków zmierzających do oczyszczenia serca. Jednocześnie ów dar przeobstwienia, łaska kontemplacji Boga w zjednoczeniu z Chrystusem jest momentem wyzwolenia, zmartwychwstania przed powszechnym zmartwychwstaniem, że użyję określenia Klimaka. Czytamy w *Drabinie raju*: „Opisał mi ktoś niezwykle i doskonały wzorzec czystości: pewien człowiek zobaczywszy piękność, od owego czasu ogromnie wystawiał Stwórcę i z miłości do Boga wylał potoki łez po tym jednym zobaczeniu”⁹. Tekst ten jest nawiązaniem do znanych wówczas dziejów tancerki Pelagii – przyszłej świętej – i biskupa Heliopolis w Egipcie Nonnusa, który obserwując występ tej niezwykle pięknej kobiety nie uległ pożądaniu lecz czystym sercem sławił Boga w podzięcie za jej taniec i piękno ciała.

Gdy nasze serca są czyste, dostrzegamy piękno i jednocześnie piękno prowadzi ku Bogu i oczyszcza nasze serca. Realizm eschatologiczny ikony, że użyję określenia, którym posługiwał się profesor Nowosielski, ma być właśnie próbą zdejmowania zasłony realizmu doczesnego. W najstarszych ikonach pochodzących z VI w., które zachowały się w klasztorze św. Katarzyny, możemy jeszcze dostrzec realistyczne cechy portretów późnoantycznych. Sztuka bizantyjska stopniowo wyzwala się z tych cech, dążąc ku formom nadrealistycznym, właściwym dla rzeczywistości zba-

² P. Brown, *Ciało i społeczeństwo: mężczyźni, kobiety i abstynencja seksualna we wczesnym chrześcijaństwie*, tłum. I. Kania, Kraków 2006, Homini, s. 233.

³ Św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, wyd. M. Derewiecki, s. 106.

⁷ P. Brown, *Ciało i społeczeństwo...*, s. 259.

⁸ Św. Jan Klimak, *Drabina raju*, s. 207.

⁹ Jak wyżej, s. 208.

wionej¹⁰. „Wychowanie ikonograficzne – pisał Evdokimov – oczyszcza wyobraźnię, uczy »wstrzemięźliwości oczu«, by móc w czysty sposób kontemplować piękno¹¹”.

Wielkie wyzwanie dla podejmujących się tworzenia ikon i patrzących na nie. Potrzeba czystości serca. Ojciec Larkin, który dziś uczy medytacji chrześcijańskiej w formie bliskiej modlitwie Jezusowej, zalecanej przez Klimakę, pisze: „To czym jest czystość serca, można ująć na wiele sposobów. Jest to wolność

od grzechu, posiadanie właściwej relacji z samym sobą, innymi, światem i Bogiem. Czystość serca to coś więcej niż cnota czystości; to harmonia i integralność wszystkich cnót¹²”.

*

W Jerozolimie, w uroczystość Podwyższenia Krzyża, Maria – prostytutka z Aleksandrii próbowała wejść do świątyni, ale jakaś dziwna siła nie pozwalała jej na to. Poczuła się odrzucona i stała przed kościołem, płacząc. Wówczas zobaczyła przed sobą ikonę Matki Bożej. Spojrzenia dwóch Marii spotkały się. Wtedy postanowiła porzucić świat. W chwilę potem mogła już wejść do świątyni i pokłonić się krzyżowi.

Michał Płoski

¹⁰ Konfrontacja ze sztuką związaną z kultami pogańskimi (np. Brumaliami ku czci Dionizosa) była powodem formułowania nakazów Kościoła. Kanon 82. Soboru Piąto-Szóstego z 692 r. głosi: „wizerunków na deskach lub na czymkolwiek innym przedstawionych, a omamniających wzrok, deprawujących rozum i powodujących rozpalenie nieczystych rozkoszy, nie zezwalamy odtąd malować pod żadnym pozorem”. Cyt. za L. Uspienski, *Teologia ikony*, tłum. M. Żurowska, Warszawa 2009, Neriton, s. 61.

¹¹ P. Evdokimov, *Wielki życia duchowego. Od ojców pustyni do naszych czasów*, tłum. M. Tarnowska, Kraków 1996, Znak, s. 173, 174.

¹² E.E. Larkin, *Medytacja chrześcijańska. Kontemplatywna modlitwa na dziś*, tłum. A. Ziolkowski, Tyniec 2014, Wydawnictwo Benedyktynów, s. 111.

Młodego Józefa Tischnera „niewielkie pomieszanie klepek”

Łukasz Prus

Młodzińcze zapiski Józefa Tischnera to książka, jakiej w literaturze dotyczącej filozofii lub choćby tylko zahaczającej o tematykę filozoficzną trzeba szukać z przysłowiową świecą. O ile w dziennikach artystów, pisarzy, na przykład u Witolda Gombrowicza czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, pojawiają się wątki filozoficzne, o tyle filozofowie niezwykle rzadko pozwalają czytelnikowi zajrzeć we własne wnętrze poprzez literacki obraz swoich przeżyć. Plejada europej-

skich filozofów składa się z osobników szczególnych, niekiedy podejrzanych moralnie, często dziwacznych, dwuznacznych, skrytych za systemem sylogistycznych okopów. Można zaryzykować tezę, że prawie każdy z nich miał coś do ukrycia.

Dziennik Tischnera z lat 1944–1949 to ewenement, dlatego warto tę książkę przeczytać. Zapiski w niej zawarte zasadniczo można podzielić na dwie części: pierwsza obejmuje wpisy z 1944 r., druga zaś z lat 1947–1949.

Tischner miał zaledwie 13 lat, gdy zaczął pisać dziennik – nie dziwi więc, że treść pierwszej części jest dosyć błaha, składa się przede wszystkim z naiwnym spostrzeżeń, jednak już tam pojawia się pytanie, które później będzie się przewijało niemal do ostatnich stron. Młody Tischner już wówczas uporczywie zastanawia się, „czym będzie”, kiedy dorośnie. Te wczesne zapiski są interesujące także z tego względu, że ich autor jest dzieckiem dojrzewającym w latach okupacji. Choć w *Dzienniku* tego nie ma, z jego późniejszych relacji wiadomo, że Tischner jako ośmiolatek przeżył ucieczkę w góry we wrześniu 1939 r., rewizję pociągu, którym jechał z ojcem, oraz przerażenie ojca, gdy żandarmi kazali mu wysiąść. Młody Tischner widział szanowanych przed wojną nowotarskich Żydów, których Niemcy zmusili do zamiatania ulic. Już wtedy przyszły autor *Filozofii dramatu* wiedział, dlaczego niektórym kobietom goliło się głowy. Sporą część dziecinnych wspomnień zajmują echa akcji partyzantów, na których Tischner mówił wtedy „desanci” albo „jędrusie”. W zapiskach wielokrotnie pojawia się postać Józefa Kurasia „Ognia”. Wojciech Bonowicz, autor biografii filozofa oraz wstępu do *Dziennika*, podkreśla, że na podstawie opisanych przez Tischnera wydarzeń można sobie wyobrazić, że już jako dziecko wiele dowiedział się o ludzkiej naturze, która później stanie się jednym z głównym przedmiotów jego badań filozoficznych. Trzonem jego myśli twórczej stanie się filozofia dramatu, czyli filozofia intersubiektywności, tego, co „wydarza się” między ludźmi. Taki wybór z pewnością miał związek nie tylko z wybitną inteligencją, którą przejawiał już w czasie nauki w gimnazjum im. Se-

weryna Goszczyńskiego w Nowym Targu, ale też z wcześniej rozbudzoną wrażliwością na ludzką biedę. Mówi o tym wiele fragmentów dziennika, choćby ten zapisany po wycieczce szkolnej do Krakowa: „Cały Kraków niekoniecznie miłe wywarł na mnie wrażenie. Najpiękniejsze budynki, teatry nie przykryją całkowicie nędzy ludzkiej. Wygląda ona z każdego niemal rogu ulicy”.

Dojrzewający Tischner – wyłaniający się z jego własnych zapisków – to młodziśnienie obdarzony (a może obarczony?) niezwykle silnym imperatywem wewnętrznym, nakazującym bezustanne doskonalenie swoich zdolności i samorozwój. Wprawdzie powszechny był wówczas pośpiech w nadrabianiu zaległości przez uczniów, którzy po wojnie wrócili do szkoły, jednak w postawie przyszłego my-

śliciela ów pośpiech jest, jak można sądzić, konsekwencją wystraszającej się samowiedzy. „Pisać i pisać” – to marzenie 16-letniego Tischnera. Niemal w każdym wpisie z lat 1947–1949 przewija się wątek literatury. Józef marzy o tym, żeby zostać literatem. 10 kwietnia 1947 r. notuje: „Chcę napisać książkę”, nieco później doda: „przyznam się, że nauka schodzi mi jakoś na plan drugi, a na pierwszym jest filozofia i literatura”. Pisze nowe, ale co chwila zaczyna pracę nad „większą całością”

(„Piszę większą całość. Nie wiem jeszcze, jaki tytuł. Chcę zobrazować życie ludzi – górali za okupacji”). Pieniądze, które dostaje na utrzymanie w bursie od ciotki zakonnicy albo zarabia na korepetycjach, przeznaczają na książki i prasę. Gazety czyta zawzięcie, przede wszystkim „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Dziś i Jutro”, „Przekrój” czy „Młoda Rzeczpospolita”. Ta ostatnia była tygodnikiem dla mło-



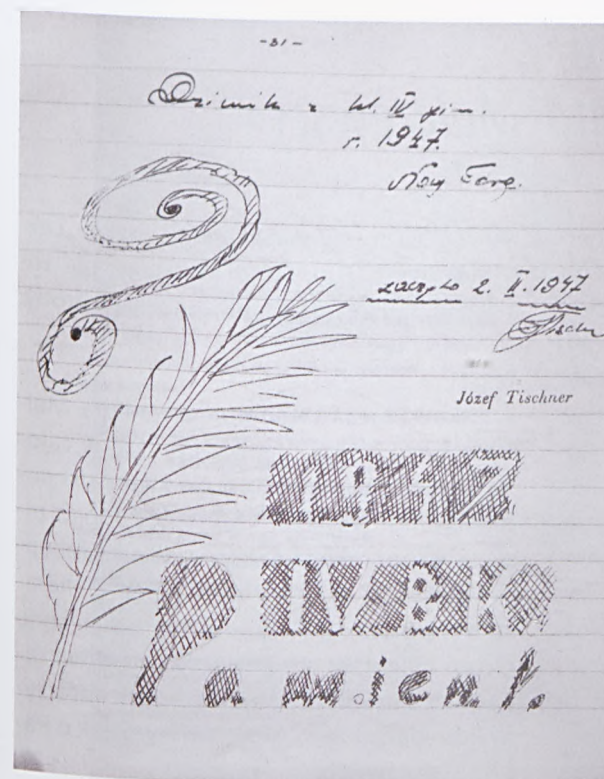
dzieży wydawanym w Krakowie. Publikowano w nim m.in. teksty nadsyłane przez uczniów szkół średnich. Tischner wysłał do niej jeden artykuł, niestety nie zdążył on się ukazać, ponieważ gazeta została zamknięta.

Sporą część uwagi młodego Tischnera zaprzątają, co zrozumiałe, uczucia do dziewcząt. Przyszły ksiądz najpierw kochał się w Halinie, potem zadurzył się w dziewczynie o imieniu Roma. Pomijając szereg ekscytacji pierwszym pocałunkiem (przez kartkę papieru, co wtedy i tak budziło zgorszenie) czy spotkaniami sam na sam, uwagę zwraca to, że raczej w jego zauroczeniach nie ma nic z romantyzmu i naiwności, właściwie bezustannie Tischner próbuje stłumić rodzące się w nim uczucia. Choć jeszcze nie myśli o kapłaństwie, stara się „stłumić erotyzm”, który odrywa go od nauki: „Wiem, że każdy musi przejść czasową miłość w młodym wieku, ale ja jej nie chcę. Po co? W pierwszym rzędzie nauka”. I nieco dalej: „Muszę przetrwać to uczucie!”. W końcu, po ciężkiej walce z samym sobą i rozczerowaniu swoją sympatią, dojrzewający Tischner zapisuje: „Obieram sobie teraz hasło: Pracuj nad sobą, byś niósł korzyść ludziom, i pracuj, tylko pracuj, nic więcej! Ona [tj. Roma – przyp. Ł.P.] niech przejdzie do wspomnień, lecz czy to da się zrobić? Będę się starał!”.

Przyszły autor *Etyki solidarności* jako nastolatek koncentruje się więc na pracy. Wiara stanowi absolutne pryncypium dorastającego Tischnera. W *Dzienniku* odnotował tylko jeden moment zawahania, jednak następnego dnia było już po sprawie: „Chciałem się jeszcze wczoraj, czy uznać naprawdę istnienie Boga, czy też nie. Dzisiaj jednak jestem już przeciwnego zdania. Braliśmy na religii dogmat o istnieniu Boga, dochodząc do niego drogą samodzielnego myślenia [...]. Nie wiem, który dowód najwięcej do mnie przemówił, może ten, że przecież świat bez Boga i życie bez Niego nie miałyby celu i stałoby się schyłkowym egzystencjalizmem”. 18 kwietnia 1947 r. notuje: „Pracuję nad znale-

zieniem celu życia i go mam! Służyć Bogu! Ojczyźnie dla dobra ludzi! Więc mam żyć dla bliźnich i dla nich się poświęcić! Trochę to romantyczne, ale co robić! Nie wiem, czy mi to dyktuje rozsądek, czy młodzieńczy romantyzm. Niemniej jednak myślę, że celu nie zarzucę. Chociaż Bóg raczy wiedzieć”. Warto dodać – autor tych zdań czytał wtedy *Ludzi bezdomnych* Żeromskiego. A cel w tym okresie wciąż ma jeden: „pisać i pisać”. Duży wpływ wywierają na niego powieści i opowiadania François Mauriac, Józio bierze go sobie za wzór: „Gdyby mi ktoś powiedział, że pod wpływem mojej lektury poszedł do kościoła i przynajmniej, przynajmniej chciał się zmienić, nie szczędziłbym trudu ani pracy, ani potu, ani cierpienia. Aby zmienić jednego człowieka, warto poświęcić Życie”.

Bonowicz w biografii Tischnera zwraca uwagę na postać ks. Włodzimierza Pilchowskiego, nauczyciela religii i jednocześnie wychowawcy klasy Tischnera. Był to ksiądz na tamte lata niezwykle, który nie ograniczał się tylko do prowadzenia katechezy, ale starał się też poszerzać horyzonty swoich podopiecznych. Podsuwał im do czytania „Tygodnik Powszechny” i „Znak”, prowadził harcerstwo w stylu baden-powellowskim. W okresie, gdy księża nie musieli mieć nawet matury, on już rok po wojnie obronił doktorat z filozofii. Dysertację doktorską pt. *Zagadnienia poznania prawdy u Włodzimierza Siergiejewicza Sołowjowa* dał do przeczytania młodemu Tischnerowi, na którym lektura ta wywarła „wielkie wrażenie”. „Pytał się, gdzie się wybieram, czy nie na filozofię ścisłą. Odpowiedziałem prawie twierdząco. Wyjaśnił mi tajemnicę. Pragnie, bym kończył przez niego zaczęte dzieło mające na celu zapoznać kraj z filozofią rosyjską. Dał mi nawet swą pracę doktorską do przeczytania [...]. Czyli mam być filozofem. Raczej uważam, że będę w ścisłej zależności od literatury, będę literatem-filozofem, ale to nic. Wszak i tą formą będę mógł służyć narodowi”, notuje Tischner. Bonowicz



w biografii napisanej w 2001 r. przypuszczał, że śmierć ks. Pilchowskiego w 1949 r. spowodowała, że Tischner zdecydował się na wstąpienie do seminarium. Teraz, dzięki publikacji *Dziennika*, nie ma wątpliwości, że właśnie tak było. Śmierć ta stanowi w dzienniku radykalną cezurę, zmienia nie tylko przedmiot rozmyślań Tischnera, ale też styl przyszłego filozofa i księdza. Prozaiczna relacja przechodzi w liryczną notację wewnętrznych poruszeń, w dynamiczny zapis egzystencjalnej eksplozji. I w szale duchowego uniesienia w końcu pod datą 28 maja 1949 r. notuje: „[...] życie składa się z momentów. Przychodzi jasny moment łaski, oślepia, burzy jak kamień wodę z nagłą uderzoną, rwie brzegi i na moment zmienia bieg fal. Czasem zmieni bieg strumienia. Powołanie kapłańskie!”.

Nie można jednak powiedzieć, że była to decyzja naiwna i bezkrytyczna. Sporo miejsca w dzienniku zajmuje relacjonowanie po-

lemiki pomiędzy marksizmem a katolicyzmem. W pewnym momencie Tischner zbliżył się do poglądów głoszonych w piśmie „Dziś i Jutro”, którego autorzy dążyli do syntezy tych dwóch nurtów myślenia, jednak nigdy nie przeżył tego, co określa się jako „zaczadzenie marksizmem”. W dzienniku zapisał: „Ja już wybrałem. Do ZMP-u nie należę. Sądzę bowiem, że maturę zdam łatwiej z pomocą Bożą niż partii”. O klerze przyszły filozof też nie miał najlepszego zdania. „[...] takie typy kobiece jak ksiądz”, notuje. A sam *Dziennik* zamykają zdania: „Nienawidzę wielu rzeczy z przeszłości Kościoła, ale wierzę w Ewangelię, Pismo Święte i w Boga. Ale nade wszystko wierzę w Miłość!”. Decyzji, którą wtedy podjął i zrealizował nie bez przeszkód ze strony rodziców, nie żałował. Wiele lat później w jednym z wywiadów,

już jako autorytet, popularny profesor, Tischner powie: „W tym czasie, żeby filozofować w sposób wolny, trzeba było, paradoksalnie, zostać księdzem”.

I tak z chłopca dojrzewającego w podhalańskim zaścianku, znającego ludzką biedę, podkochującego się w koleżankach, pochłaniającego książki i prasę, marzącego o wielkiej literaturze wyrósł – jednak – filozof, który, jak również mówił po latach, „na szczycie europejskiego myślenia” czuł się jak w domu i zapisał się w historii jako jeden z najwybitniejszych polskich myślicieli.

Łukasz Prus

Józef Tischner, *Dziennik 1944–1949. Niewielkie pomieszanie klepek*, Znak, Kraków 2014.

O albumie *Jacek i Rafał Malczewscy*

Mieczysław Szewczuk

Tym razem nie o wystawach, a o albumie *Jacek i Rafał Malczewscy*. Ukazał się w Radomiu na przełomie 2014 i 2015 r., ułożony i zredagowany przez Zofię Katarzynę Posiadałą. Wydawcą jest Barbara Towpik-Roszkiewicz z Poznania. To wydawnictwo wyjątkowe z wielu powodów. Autorka postawiła przed sobą zadanie: **Pokazać sztukę Jacka i Rafała Malczewskich w książce, pokazać jej rangę i wyjaśnić sens.** W 2011 r. zorganizowała w Muzeum im. Malczewskiego wystawę pt. „Jacek i Rafał Malczewscy”. Później zaczęła przygotowywać książkę, nad którą pracowała dwa lata. Żeby pokazać w albumie rangę tej sztuki, ważny był nie tylko wybór dzieł, ale też znakomite zdjęcia obrazów i druk reprodukcji. Powstał album przez wiele osób uznany za najpiękniejszą książkę o Jacku Malczewskim.

Są w nim starannie wybrane i ułożone dzieła obu malarzy, w większości nieznane obrazy Jacka i obrazy Rafała świadczące o tym, że był wybitnym malarzem epoki 20-lecia międzywojennego. W albumie reprodukowanych jest 235 obrazów z 42 kolekcji prywatnych oraz z 17 muzeów i domów aukcyjnych. Staranny układ obrazów Jacka jest spokojnym wprowadzaniem czytelnika w świat wyobraźni artysty; a teksty Rafała Malczewskiego i Katarzyny Posiadały pozwalają odczytać wątki spraw osobistych, przez malarza raz ukrywanych, innym razem manifestowanych. Niestety, zabrakło spisu treści i spisu reprodukowanych dzieł, co utrudnia odnalezienie obrazu, którego szukamy. I kiedy chcę powrócić do któregoś z fascynujących mnie lub nieznanych mi wcześniej, np. „Autoportretu z czaszką” (z 1908 r.), arcydzieła wysta-

wy w 2011 r., czy malowanej jak szkic „Lekcji historii” (1916), której wcześniej nie widziałem, muszę szukać, przewracając strony.

Teksty

Książka zawiera wspomnienia Rafała Malczewskiego o ojcu, nigdy wcześniej w całości niepublikowane, ogromnie ważne dla poznania obu twórców, i tekst wybitnego pisarza Włodzimierza Odojewskiego o recepcji twórczości Jacka Malczewskiego w Niemczech i w Szwajcarii. Także teksty poświęcone sztuce i biografii obu malarzy autorstwa radomskich opiekunek kolekcji – Zofii Katarzyny Posiadały o Jacku i Pauliny Szymalak o Rafał Malczewskim.

Dedykacja

Album dedykowany jest Krystynie i Krzysztofowi Malczewskim (wnukowi Jacka, synowi Rafała i jego żonie), którzy podarowali radomskiemu muzeum rodzinne archiwum i obrazy. Jest symbolicznym podziękowaniem niezującym darczyńcom, autorka w ten sposób odwdzięczyła się za ich przyjaźń i zaufanie. Miasto Radom podziękowało za ten wspaniały dar już wcześniej, w 2008 r. Krystyna Malczewska otrzymała od władz miasta medal Bene Merenti Civitas Radomiensis.

Autorka albumu

Przypomnijmy, kim jest. Zofia Katarzyna Posiadała, historyk sztuki – teraz na emeryturze – w muzeum radomskim pracowała w latach 1976–2011. Kierowała działem sztuki niemal od początku, od 1977 r., z przerwą w latach 1979–1984. A więc to ona najdłużej tworzyła zbiory sztuki i kolekcję obrazów Jacka Mal-



Jacek Malczewski, „Orfeusz i Eurydyka”, 1914, olej / płótno, 197 x 120 cm

fot. reprodukcja z albumu



Rafał Malczewski, „Wiosna”, 1925-27, olej / płótno, 94,5 x 125,5 cm

czewskiego. Zawsze podkreślam, że umiała tworzyć kolekcję dzieł Malczewskiego w taki sposób, by uzyskać równowagę – w kolekcji i na wystawach – między obrazami o różnym charakterze, malowanymi „gładko”, w których malarz ulegał gustowi środowiska, a malowanymi swobodnie, w których czytelny jest każdy jego gest i ujawnia się w pełni talent autora.

I równie ważne – to ona zdobyła zaufanie, przyjaźń Krzysztofa Malczewskiego, który zmienił plany i nie muzeum w Zakopanem, a muzeum w Radomiu podarował wielkie archiwum rodzinne (654 pozycje: cenne dokumenty, listy, fotografie, dyplomy) i pamiątki. Po jego śmierci żona, Krystyna Malczewska, podarowała (w 2006 i 2007 r.) w imieniu męża pięć obrazów jego dziadka, w tym dwa tak świetne: „Portret Rafała Malczewskiego z żoną” (1922) i „Portret Rafała z gołębiami” (ok. 1900). Muzeum otrzymało w darze wielki majątek.

Za album *Jacek i Rafał Malczewscy* Katarzyna Posiadała otrzymała w tym roku Nagrodę im. św. Kazimierza.

gólnym znaczeniu – dwa obrazy należące do najważniejszego zespołu jego prac, ukazujące wielkie zakłady przemysłowe Śląska i COP-u: „Kopalnia Mysłowice” (1934) i „Uliczka” (1938). Jest też portret synka „Krzyś na rowerku” (ok. 1922), czyli późniejszego darczyńcy.

Kiedy radomskie Muzeum im. Jacka Malczewskiego stworzy nową, dużą wystawę poświęconą sztuce i życiu patrona, będzie mogło pokazać także obrazy i postać Rafała – wybitnego malarza następnej epoki.

Mieczysław Szewczuk

Jacek i Rafał Malczewscy, koncepcja i redakcja: Zofia Katarzyna Posiadała; teksty: Rafał Malczewski, Włodzimierz Odojewski, Zofia Katarzyna Posiadała, Paulina Szymalak; projekt graficzny: Jacek Wójcik, ARFA Lublin; wydawca: Barbara Towpik-Roszkiewicz; druk: Alfgraf Lublin; Radom 2014, s. 328.

Radomska kolekcja
Ten album po raz pierwszy – właśnie dzięki świetnym reprodukcjom – pokazuje, jak znakomite obrazy Jacka Malczewskiego znalazły się w radomskim muzeum. Oprócz najbardziej znanych arcydzieł, obrazów symbolicznych są także portrety rodzinne, szkice i osobiste notatki. Także w niedużym zbiorze obrazów Rafała są dzieła o szcze-



Dialog warsztatu z cyfrą po raz drugi w Radomiu

Lidia Ziemińska

fot. Lidia Ziemińska

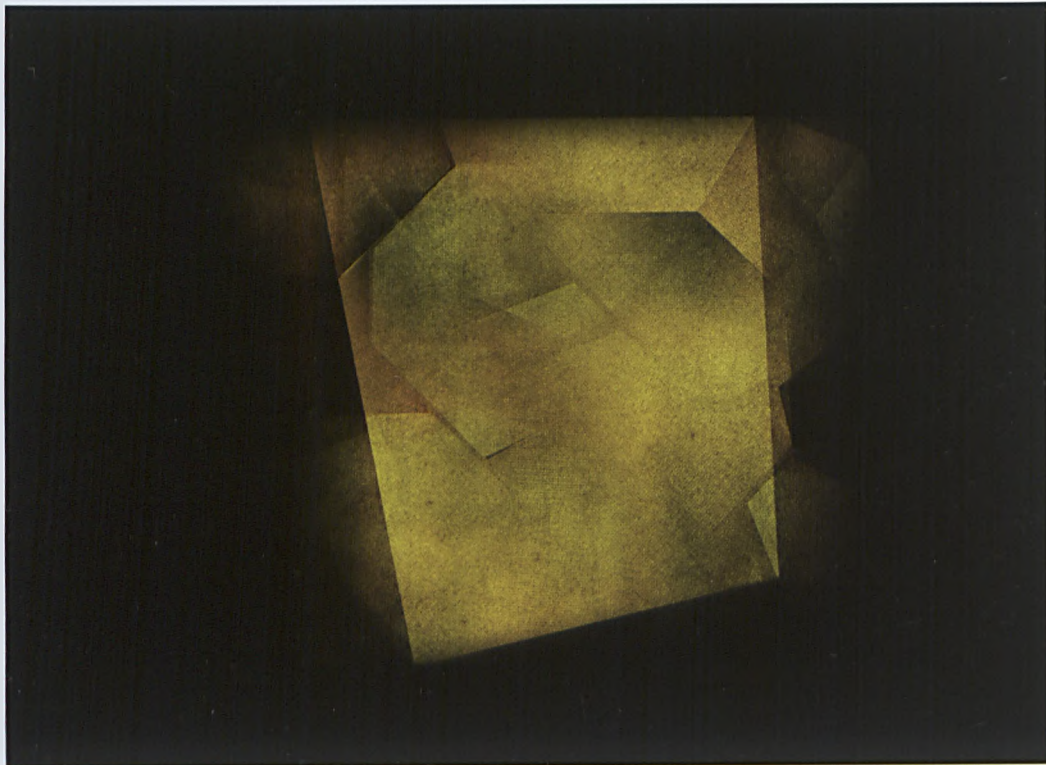
Wydaje się, że grafika artystyczna przeżywa swój ponowny renesans. Do licznych konkursów, przeglądów graficznych i wystaw małych form takich jak Międzynarodowe Biennale Exlibrisu i Małej Formy Graficznej w Malborku, Międzynarodowe Biennale Małej Formy Graficznej i Ekslibrisu w Ostrowie Wielkopolskim, Międzynarodowe Triennale – Małe Formy Graficzne w Łodzi dołączyła jeszcze jedna – „Mała forma graficzna 13 x 18, dialog warsztatu z cyfrą”. Była to druga edycja tej wystawy. Mogliśmy ją oglądać od 13 lutego do 6 marca w galerii „Łaźnia” przy ul. Traugutta w Radomiu.

Wystawa nie zakładała tematu dzieł ani też nie stawiała ograniczeń warsztatowych, jedynym warunkiem uczestnictwa było zamknięcie wypowiedzi artystycznej w formacie 13 x 18 cm. Organizatorzy zachęcali też autorów do dialogu form grafiki warsztatowej z cyfrową.

Tradycyjna grafika to nazwa jednej z dyscyplin w sztukach plastycznych polegająca na

odciskaniu czy odbijaniu matrycy, najczęściej na papierze. Matrycą, przygotowaną przy pomocy trawienia lub wycinania, mogą być różne materiały (deska, metal, kamień, szkło, tworzywa sztuczne), z których po pokryciu farbą drukarską wykonuje się odbitki na papierze. Druki te nazywamy rycinami graficznymi. Dziś mamy również grafikę cyfrową, która powstaje przy użyciu graficznych programów komputerowych.

Na radomskiej wystawie zobaczyliśmy 120 dzieł 30 artystów (w większości pedagogów wyższych uczelni artystycznych) prezentujących po cztery miniatury powstałe w ostatnich dwóch latach, w różnych technikach: od tradycyjnych jak linoryt, sucha igła i akwatin-ta, akwaforta aż po techniki cyfrowe i techniki własne. Obok artystów z Danii, Niemiec, Węgier, Słowenii, Macedonii, Ukrainy prezentowali się w licznej grupie Polacy, w tym artyści z Radomia: Mariusz Dański, Michał Kurkowski, Szymon Piasta.



Mariusz Dański, z cyklu „Vana Figuris – plama”, druk cyfrowy, 2013

Prace Mariusza Dańskiego z cyklu „Vana Figuris” zwracają uwagę doskonałym warsztatem, a jest to warsztat nowoczesny, komputerowy. Artysta wydobywa z cienia poszczególne figury. Kształt całej figury jest nieodgadniony, gdyż jej boczne części skrywają się w mroku, możemy jedynie przypuszczać lub... przeczuwać, jak powinna wyglądać całość. Kolorystyka tych nieokreślonych do końca figur jest złożona i bogata w delikatne odcienie złota i brązu. Figury „świecą” swoim własnym światłem, sprawiają takie wrażenie za sprawą kontrastującego z czarnym tłem złota.

Moją uwagę przyciągnęły też prace w technice własnej Małgorzaty Bieleckiej, gipsoryt Jana Bosaka, linoryty Karola Chroboka, Łukasza Cywickiego, Tamasa Havasi, Dariusza Kacy, druki cyfrowe Wiesława Szamockiego, techniki cyfrowe Zofii Turno i techniki autorskie Teresy Żebrowskiej, sucha igła i akwatinta Vlado Goreskiego, aligrafie Pawła Delekty.

Za wszystkimi dziełami graficznymi stoją, jak sądzę, silne osobowości autorów. Różnice można prześledzić, porównując poszczególne prace, np. w technice linorytu.

Technika linorytu pojawiła się po wynalezieniu linoleum w 1860 r., jest więc stosunkowo „młoda” technika. Linoleum otrzymuje się poprzez zmieszanie pokostu lnianego, korka mielonego, trocin, włókien kokosowych, kauczuku i gumy, na podłożu z tkaniny. Tworzywo to bywa jednolicie barwione lub drukowane w desenie. Tylko świeże linoleum nadaje się do rytowania. Posiada wówczas dużą plastyczność, nie jest łamliwe i wycinać je można we wszystkich kierunkach. Jest łatwe do obróbki i odporne na uszkodzenia. Rytujemy je różnymi dłutkami, rylcami i możemy wycinać całe płaszczyzny nożyczkami. Linoryt należy do technik druku wypukłego, oznacza to, że linie wyżłobione lub wycięte są białe, partie nie ruszone (wypukłe) są po wydrukowaniu czernią. Odbit-

kę wykonujemy poprzez pocieranie kostką introligatorską albo ręczną prasą.

Artyści, którzy lubią eksperymenty, zaczęli stosować linoleum zamiast drewna, a efekt końcowy przypominał zazwyczaj drzeworyt langowy (wzdłużny). Możliwościami linoleum zainteresował się Picasso, kiedy w latach 60. XX w. osiadł na południu Francji i tam poznał drukarza Arnera. Łatwość, z jaką można było pracować w tym materiale, wzbudziła entuzjazm genialnego artysty. Picasso po pierwszych zrealizowanych próbach postanowił skoncentrować się na możliwościach druku barwnego z wykorzystaniem tylko jednej płyty (matrycy). Metoda ta od jego nazwiska zwana jest metodą Picassa lub metodą na płytę traconą (bowiem w wyniku wycinania kolejnych części płyta jest bezpowrotnie stracona). Na początek należy precyzyjnie zdefiniować poszczególne kolory obrazu. Za pomocą żłobaka opróżnia się wszystkie strefy, które mają zostać białe, następnie drukuje się, zaczynając od najjaśniejszych tonów. Potem wycinamy z płyty (matrycy) miejsca – strefy już odbite. Na końcu zostają te przyjmujące farbę najciemniejszą. Ta metoda, stosowana także w drzeworycie barwnym i światłocieniowym, wiąże się z jednorazową edycją całego nakładu, z powodu utraty matrycy. W wyniku uproszczenia techniki barwnego linorytu metoda Picassa zyskała uznanie wielu artystów i krytyków.

Polskim mistrzem linorytu jest Józef Gielniak (1932–1972), którego największe dzieła powstały w sanatorium Bukowiec koło Kołowa. Opracował on metodę linorytu punktowego. Mistrzami linorytu są polscy klasycy Janina Kraupe-Świdorska czy Stanisław Fijałkowski, a z młodszych twórców Janusz Akerman, Joanna Piech, Bogdan Miga, Rafał Pytel, Małgorzata Niespodziewana, Marta Bożyk, Patryk Lutomski.

Na wystawie w galerii „Łaźnia” linoryty Karola Karla Chroboka (z Niemiec) przyciągają uwagę formą i zrównoważonym układem plam bieli

i czerni. Całość nawiązuje do sztuki Afryki prekolonialnej lub wycinanek Matisse’a.

Linoryty Łukasza Cywickiego (z Rzeszowa) prezentują odmienną formę. Artysta uzyskuje płaszczyzny i plamy szarości przez bogate i zróżnicowane kreskowanie (wycinanie w matrycy). Jego linie są poskręcane i przerywane. Używa różnych narzędzi, by wydobyć pożądany efekt.

Prace Tamasa Havasi, mimo tej samej techniki linorytu, są jeszcze inne. Przypominają swobodny rysunek wykonany piórkiem i tuszem. Duże formy buduje z „siatek” różnych linii, prowadzonych miękko zarówno we wszystkich możliwych kierunkach, jak i tworzących formy kuliste. Czysta czern występuje tu sporadycznie, jako okonturowanie i tło dla bogactwa linii.

Z kolei linoryty Dariusza Kacy „Byty efemeryczne” to przenikające się abstrakcyjne struktury zbudowane z drobnych białych i czarnych, sąsiadujących ze sobą i „zlewających się igiełek” oraz punkcików. W niektórych momentach występują tak subtelne różnice, że ulegamy złudzeniom optycznym. W innych partiach kojarzą się one ze sposobem wycinania matrycy przez Józefa Gielniaka – mistrza polskiego linorytu.

Druki cyfrowe artysty toruńskiego Wiesława Szamockiego to cykl prac pod tytułem „Dwa”. Artysta ukazuje w układzie symetrycznym dwie bliźniaczo podobne do siebie formy drzew. Praca podobna jest i do fotografii, i do rysunku tuszem. Korony drzew przypominają utknaną z drobnutkich, cienkich linii materię ażurową, zagęszczającą się ku brzegom pracy. Tam gdzie „nitka” jest „wypruta”, wciska się światło. Z daleka te dwie korony wyglądają jak dwie dłonie, albo wachlarze. Kojarzyć się też mogą z litograficznymi przedstawieniami drzew Leona Wyczółkowskiego. Całość jest niezwykle przemyślana i harmonijna.

Jedną z prac Małgorzaty Bieleckiej (z Kielc) to „Opozycja kolorów” (technika własna), w której artystka przeciwstawia dwie formy koloru-



Michał Kurkowski, „Błąd systemu 5”, odprysk/akwaforta, 2013

styczne, jedną zbliżoną do gamy szarości, drugą w czerni i zieleni. Uwagę zwraca bogactwo formy i niuansów kolorystycznych kompozycji.

Z kolei gipsoryt Jana Bosaka (z Krakowa) „Twarz IV” to portret starego człowieka, twarz delikatnie wyłania się z cienia poprzez układ kresek i linii. Kompozycja ma swobodny, szkicowy charakter.

Zofia Turno (z Końskich) prezentuje cykl „Wyszukane obrazy” w technikach cyfrowych. Tytuł jest wieloznaczny, albowiem są to dosłownie odnalezione w realnej rzeczywistości przedstawienia skorodowanych blach przypominające malarstwo materii lat 60. ub. wieku, ale z drugiej strony są to wyszukane, unikatowe obrazy. Zbliżony sposób widzenia świata dostrzegamy w „Pejzażach semiotycznych”

krakowskiej artystki Terezy Żebrowskiej. Też obrazują wykadrowany z rzeczywistości skrawek życia o podobnej kolorystyce i użytej materii.

Vlado Goreski (z Macedonii) w jednej z prac wykonanej w technice suchej igły i akwatinty przedstawia dynamiczną formę z zagęszczającymi się liniami. Kreseczki nakładają się na siebie, tworząc niezwykle atrakcyjną strukturę. Praca nie jest jednoznaczna, kojarzy się z obrazem wzburzonego, huczącego morza albo wycinkiem wykadrowanym gdzieś wysoko w koronie drzewa. Uwagę przyciąga zbudowana przez artystę bogata paleta szarości i jej niuansy.

Inny artysta, Paweł Delekta (z Cieszyńska), wykonał prace w technice algrafii, w której podłoże stanowi płyta aluminiowa. Kompozycja

jest prosta: lewą i prawą część pracy stanowią panele czerni, środek w formie wydłużonego prostokąta stanowi tajemnicze miasto. „Miasto tajemnic” kojarzyć się może z kolumną Trajana, a graficzna odbitka przypomina płaskorzeźbę. Z mroku wyłaniają się fragmenty ulic... jak z odkrytego przez archeologów zaginionego miasta.

Lidia Ziemińska

Wystawa „Mała forma graficzna 13 x 18, dialog warsztatu z cyfrą” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łaźnia”, ul. Traugutta 31/33 13 lutego – 6 marca 2015.

Wykorzystajmy-To-Co-Już-Mamy. Radomska kolekcja polskiej sztuki II połowy XX wieku

Anna Kacprzak

W jaki sposób podejmujemy decyzje? W jaki sposób podejmujemy decyzje dotyczące kultury? I jeszcze bardziej szczegółowo – decyzje dotyczące kultury w Radomiu? Być może nie są to pytania, które chcemy i lubimy zadawać, zwłaszcza w sezonie letnim, w sezonie kanikuły, ale czy później nie będzie zbyt późno? „MP” częściej pisze o radomskiej kulturze z punktu widzenia odbiorców zdarzeń niż ich animatorów. W sposób zapewne nie do końca uświadomiony autorzy pomijają ważny aspekt procesu powstawania dzieła czy wydarzenia, czyli organizację. A przecież tylko niektóre dzieła powstają w wyniku nagłego natchnienia, większość to żmudne organizacyjne przygotowania – wydanie książki, zorganizowanie wystawy, przygotowanie spektaklu, nakręcenie filmu. To tygodnie, miesiące, lata prac koncepcyjnych, przygotowawczych etc. Przyjrzyjmy się więc, w jaki sposób powstaje instytucja kultury, jakie są powody jej powstania, poszczególne etapy prac, a jaki bywa ich końcowy efekt. Pretekstem tych rozważań jest niedawne otwarcie Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia”. Miało to miejsce zeszłej jesieni, po wielu latach budowy, w budynku dawnej elektrowni miejskiej przy Traugutta 53 lub Kopernika 1 (co kto woli). Budynek ten miał bowiem dwa adresy, co być może zapowiadało jego późniejsze kłopoty z podwójną tożsamością. Miała powstać lepsza i większa przestrzeń wystawowa dla kolekcji zgromadzonej w radomskim Muzeum Sztuki Współczesnej (oddziale Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu).

Mamy bowiem w Radomiu znaczącą kolekcję polskiej sztuki II połowy XX w., którą przez dziesięciolecia gromadzili Mieczysław Szewczuk i Stanisław Zbigniew Kamieński. Liczy ona około 4500 obiektów, w tym prace artystów uważanych za największe nazwiska tego okresu, by wymienić niektóre z nich – Tadeusz Brzozowski, Jerzy Nowosielski, Tadeusz Kantor, Wojciech Fangor, Edward Dwurnik. W jej skład wchodzi prace zakupione przez Muzeum im. J. Malczewskiego i 265 prac ze zbiorów zlikwidowanego BWA, jednak głównym trzonem są prace otrzymane w formie darowizny lub kupione w okresie po wyodrębnieniu w strukturze muzeum jego oddziału – Muzeum Sztuki Współczesnej. Kolekcja ma znakomitego patrona i darczyńcę Andrzeja Wajdę, który wielokrotnie angażował się w działania zmierzające do jej wyeksponowania i wypromowania. I co? I nic. Kolekcja niczym legendarna złota kaczka nadal trzymana jest pod kluczem w piwnicach radomskiego Rynku.

Andrzej Wajda tak pisał o tej kolekcji: „Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu. Dlaczego nie? Przecież właśnie w Radomiu istnieje gromadzona od lat kolekcja współczesnej sztuki polskiej, posiadająca w swoich zbiorach najbardziej znaczące nazwiska i istotne dzieła z ostatniego pół wieku”.

Wydawało się, że najpoważniejszym problemem radomskiej kolekcji był brak miejsca do jej ekspozycji, Muzeum Sztuki Współczesnej mieściło się, a właściwie gnieździło w dwóch niewielkich kamienicach w Rynku.

W 2005 r. radomska redakcja „Gazety Wyborczej” pod wpływem sugestii Andrzeja Wajdy rozpoczęła publiczną debatę na temat ist-



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

Przewodniczący jury ogłasza zwycięzcę w konkursie na koncepcję architektoniczną „Elektrowni”; siedzą od lewej: Mieczysław Szewczuk, Marek Pabich, Andrzej Wajda, Roman Wieszczyk, Agata Morgan, Robert Kornatka

nienia kolekcji i potrzeby znalezienia lub utworzenia większej przestrzeni wystawienniczej, organizując w tej sprawie specjalne spotkanie. Uczestniczyli w nim parlamentarzyści różnych opcji, władze miasta, twórcy kolekcji – wszyscy zgodni, że utworzyć trzeba i należy współdziałać w tej sprawie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie radomianka, Kaja Koziańska obroniła na warszawskiej ASP pracę pokazując możliwość adaptacji dawnej elektrowni miejskiej dla potrzeb studenckiego centrum kultury. Jej pomysł przypomniał nam wszystkim o istnieniu w centrum miasta atrakcyjnego budynku, wpisując się w modny wówczas (i chyba nadal jeszcze) trend adaptowania budynków poprzemysłowych na galerie i muzea. Prezydent Radomia przekazał samorządowi województwa mazowieckiego budynek elektrowni (którego był właścicielem), w celu utworzenia w nim przestrzeni wystawienniczej dla kolekcji zgromadzonej przez Muzeum Sztuki Współczesnej, które razem ze swoją centralą organi-

zacyjnie podlega marszałkowi województwa mazowieckiego.

W 2006 r. został rozstrzygnięty konkurs na koncepcję architektoniczną zagospodarowania tego budynku pod kątem utworzenia w nim przestrzeni wystawienniczej dla radomskiej kolekcji polskiej sztuki II połowy XX w., jak zwykliśmy określać kolekcję muzeum. Opis kolekcji był częścią dokumentacji konkursowej, architekci projektowali nową przestrzeń z myślą o zgromadzonych już zbiorach. Warto przypomnieć, że warunki konkursu ustalał sąd konkursowy, w którym zasiadało trzech architektów, między innymi prof. Marek Pabich z Instytutu Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej, specjalizujący się w projektowaniu przestrzeni muzealnych przeznaczonych dla ekspozycji sztuki współczesnej. Członkiem sądu konkursowego był także Mieczysław Szewczuk – wówczas kierownik Muzeum Sztuki Współczesnej, zaś Andrzej Wajda był jego honorowym członkiem. Konkurs wygrał Andrzej

Kikowski z zespołem – wówczas bardzo młody projektant z nowymi, oryginalnymi pomysłami. Prof. M. Pabich po rozstrzygnięciu konkursu napisał o zwycięskim projekcie: „Wybór rozwiązania zależy w znacznej mierze od zrozumienia przez architekta istoty sztuki, która ma być eksponowana w planowanym przez niego wnętrzu – i od roli, jaką ma odgrywać galeria wobec lokalnej społeczności. Zwycięski projekt niczego nie udaje, nie naśladuje, odznacza się świeżością myśli. Jako jedyny spełnił wszystkie oczekiwania jury, zarówno w sferze funkcjonalnej, jak i przestrzennej. Jednocześnie posiada wewnętrzną siłę emanującą z architektury, co pozwala sądzić, że stanie się dla miasta obiektem symbolicznym”.

Przebudowa „Elektrowni” zakończyła się w 2014 r. (prawie, brakuje jeszcze sali kinowej). Na otwarciu nowej instytucji przygotowano wystawę pokazującą prace w ogromnej większości z kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej zatytułowaną „Specimen. Próba kolekcji”, której towarzyszył katalog pod tym samym tytułem. Teksty zamieszczone w katalogu zdumiewają ilością kłamstw i półprawd. Zastępca dyrektora ds. artystycznych „Elektrowni” Zbigniew Belowski w tekście otwierającym katalog pisze: „Ogłoszony został konkurs, którego jury wybrało projekt architektoniczny nie określając szczegółowo założeń funkcjonalnych i użytkowych obiektu”. Jednocześnie dyrektor Włodzimierz Pujanek (z wykształcenia inżynier) rozumie, że był to konkurs na koncepcję architektoniczną i że założenia zostały określone prawidłowo, co napisał w swoim tekście zamieszczonym jako drugi w kolejności w tym samym katalogu. Píše o „dwuetapowym, otwartym konkursie architektonicznym na koncepcję zagospodarowania obiektu [...]” i o celu, którym było „zapewnienie odpowiednich warunków do przechowywania i eksponowania zbiorów Muzeum Sztuki Współczesnej – Oddziału Muzeum Jacka Malczewskiego”. Może warto przypomnieć, że dyrektor W. Pujanek

brał udział w przygotowaniu i przeprowadzeniu tego konkursu, a Z. Belowski był wówczas dyrektorem ośrodka kultury w Pionkach.

W czwartym z kolei tekście zamieszczonym w katalogu Romuald K. Bochyński pisze, że „proces budowy kolekcji »Elektrowni«, zapoczątkowany w 2007 roku, został zaprojektowany przez jej kuratorów [brak nazwisk – A.K.] jako istotny czynnik służący powiększaniu kapitałów kulturowego i symbolicznego instytucji [...]”. Jaką kolekcję „Elektrowni” może mieć na myśli i o jakie kapitały, czy to kulturowe czy symboliczne, może chodzić autorowi tych słów, skoro instytucja była w trakcie budowy? „Elektrownia” została pomyślana i budowana jako przestrzeń ekspozycyjna dla radomskiej kolekcji polskiej sztuki II połowy XX w., zgromadzonej w zbiorach Muzeum Sztuki Współczesnej, sens miałyby więc słowa o uzupełnianiu tej istniejącej już, kolekcji w porozumieniu z jej twórcami. Taka myśl towarzyszyła pierwszemu zakupom dokonany przez „Elektrownię” ze środków ministra kultury i dziedzictwa narodowego w ramach programu „Znaki Czasu”, które pokazane zostały na wspólnej wystawie z pracami zakupionymi równolegle, z tego samego programu przez Muzeum Sztuki Współczesnej. Potem jednak idea czy polityka zakupów uległa zasadniczej zmianie, w kolejnych latach „Elektrownia” kupowała już samodzielnie, nie współdziałając z twórcami i kuratorami istniejącej kolekcji – Mieczysławem Szewczukiem i Stanisławem Zbigniewem Kamieńskim. Obaj panowie nadal mieszkają i pracują w Radomiu.

Zbigniew Belowski (w przywoływanym już tekście) dzieli się z czytelnikami swoją wizją przyszłości radomskiej „Elektrowni” – „Świadomie i konsekwentnie przekształcać starą fabrykę w »Fabrykę Wyobraźni«. A w przyszłości stworzyć ogólnopolską, a potem europejską i światową Sieć Fabryk Wyobraźni”. Fabrykanci wyobraźni wszystkich krajów – łączy się! – można by zawołać radośnie, gdyby nie to, że radośnie nie jest. Tymczasem wystawa

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński



inaugurująca działalność „Elektrowni” po jej przebudowie została zdjęta, prace z kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej wróciły do muzealnych magazynów. Wydaje się, że nikt nie uważa za stosowne zrobienia stałej ekspozycji prac polskiej sztuki II połowy XX w. (co wcale nie oznacza, że trzeba pokazywać wciąż te same prace, czy że przeszkadzałoby to w organizacji wystaw zmiennych sztuki najnowszej).

Nie umawialiśmy się na Fabryki Wyobraźni, umówiliśmy się na nową przestrzeń wystawienniczą dla istniejącej już kolekcji, która uważana jest za cenną. My, radomianie, chcemy ją oglądać i chcemy ją pokazywać naszym gościom. Chcemy w budynku dawnej miejskiej elektrowni mieć Muzeum Sztuki Współczesnej z kolekcją polskiej sztuki II połowy XX w. Wykorzystajmy-To-Co-Już-Mamy.

A świat wyobraźni jest ogromny, można w nim zbudować czy pomieścić niejedną fabrykę...

Dotrzymywanie słowa wydaje się staromodne. A jednak możemy i powinniśmy wymagać dotrzymywania słowa, zwłaszcza od władz publicznych, które sami wybieramy i powierzamy im nasze podatki. Tylko w ten sposób można zbudować zaufanie i tym samym kapitał społeczny, którego tak bardzo nam brak.

Anna Kacprzak

Cytaty pochodzą z publikacji:

Projekt elektrownia. Katalog pokonkursowy. Konkurs na koncepcję architektoniczną zagospodarowania budynku dawnej elektrowni w Radomiu przy ulicy Kopernika 1, Radom 2007.

Pierwsze zakupy dzieł sztuki w ramach Programu Operacyjnego „Znaki Czasu”, Radom 2007.

Specimen. Próba kolekcji, brak miejsca wydania 2014.

Adam Nowaczyk

Urodził się w 1976 r. w Koninie, rodzina mamy pochodzi z okolic Szydłowca. Studiował na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu (obecnie Uniwersytet Artystyczny), 1997–2002. Dyplom w pracowni malarstwa prof. Jacka Waltosia. Od 2013 r. prowadzi XIII Pracownię Rysunku na swojej uczelni. Zajmuje się rysunkiem i malarstwem. Autor 15 wystaw indywidualnych i uczestnik ponad 20 wystaw i prezentacji zbiorowych. Współorganizator ogólnopolskiego projektu Teraz Rysunek, UAP Poznań. Współtworzy inicjatywę laboratorium bez adresu. Współpracuje z wydawnictwem muzycznym Multikulti Project. Od 2009 r. współpracuje z Galerią pod Biblioteką w PWSZ w Koninie. Zajmuje się również muzyką chóralną (Musica VIVA) oraz w latach 1995–2003 eksperymentalno-improvizowanymi działaniami w obszarze muzyki (Grupa Twórcza MY, wraz z Marcinem Olejniczakiem).

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

Figury. Przemiany.

Od początku kształtowania się moich wyborów twórczych tematyka i problematyka obrazów wiązała się z obecnością człowieka, figury ludzkiej. Jednocześnie dość wcześnie zafascynowała mnie możliwość łączenia przestrzeni o cechach syntetycznych, niemal abstrakcyjnych, z obecnością postaci. Zderzenie cielesności, zmysłowej i materialnej tkaniki z niejednoznaczną i niedookreśloną przestrzenią ma, jak sądzę, duży potencjał metaforyczny i formalny. Daje możliwość powoływania miejsca – nie miejsca, przestrzeni pomiędzy. Tak rozumiane malarstwo, tworzone przy pomocy kontrastów koloru i materii, zbliżało moją wypowiedź artystyczną ku dramatycznym wizjom człowieczeństwa w twórczości Jusepe de Ribery czy Francisca Bacona.

Ten sposób obrazowania został naruszony w dwóch pracach dyplomowych, kiedy klasycznie figuratywne obrazy zostały wycięte i pozbawione fragmentu przestrzeni. To działanie, mające swoje źródło i odniesienia w pracy rysunkowej z drugiego roku studiów, rozpoczęło dla mnie ważną i trwającą do dziś „przygodę” z fragmentaryzacją płaszczyzny, przestrzeni i postaci, zmierzającą ku przedmiotowemu aspektowi obrazu – obiektu. Coraz częściej symboliczne i ekspresyjne cechy koloru zyskiwały na znaczeniu, mniej ważny stawał się ich zjawiskowy, sensualny charakter. Wycięcia, deformacja, fragmentaryzacja i permutacyjny charakter kształtowanej formy stają

się głównymi elementami podejmowanych prób tworzenia własnego języka malarskiego.

Ta decyzja nie eliminuje podstawowych założeń „tematycznych”, a jedynie zmienia ich wyraz. Nadal pojawia się człowiek w relacji do przestrzeni, ale równolegle coraz częściej postać ludzka sytuuje się w relacji do syntetycznej, nieoczywistej biologicznej formy, śladu powstającego na granicy obecności osoby i jej cienia, implikując pojawienie się pojęć braku i pustki. Jednak nie chodzi mi o destrukcję czy rozpad, raczej o przemianę i ciągłe stawanie się na nowo. Wydaje mi się, że stosowane przeze mnie metody postępowania – fragmentaryzacja i potencjalność przestrzeni malarskiej, fizyczność pociętego, pokawałkowanego obrazu oraz ulegająca przemianie figuratywność przedstawienia – zmierzają do kształtowania się nowych znaczeń: najważniejszym stanem, w jakim znajduje się współczesny człowiek, jest niemożność odczucia pełni (poczucie nie-pełni).

Sztuka, niezależnie od swoich dziedzic, warsztatów i języków wypowiedzi wciąż stawia istotne dla człowieka pytania o obraz i sens kondycji ludzkiej. Idealistyczne utopie i światy idealne dają nam coraz rzadziej schronienie.

Adam Nowaczyk



bez tytułu, 2004–2005, olej na płótnie, 208 x 140 cm



wycięty VIII. Skulony, 2008–2009, tempera / płyta hdf, ok. 110 x 100 cm





we wnętrzu III, oczekiwanie, 2006–2007, tempera, olej na płótnie / płyta hdf, ok. 300 x 180 cm



we wnętrzu IV, horyzont, 2008–2009, tempera na płótnie / płyta hdf, 268 x 110 cm



we wnętrzu II, 2006–2007, tempera, olej na płótnie / hdf, 285 x 120 cm



czarne wyjęte, 2009, tempera na płótnie / płyta hdf, ok. 140 x 120 cm



wycięte VII. Symetria, 2009, tempera na płótnie / płyta hdf, ok. 150 x 120 cm



+/- (awers), 2015
tempera na płycie mdf, 160 x 180 cm



+/- (rewers), 2015
tempera na płycie mdf, 160 x 180 cm

fot. archiwum autorki



Jestem przede wszystkim czytelnikiem...

z Martą Wiktorią Trojanowską
rozmawia Ilona Michalska-Masiarz

Na propozycję rozmowy dla „Miesięcznika Prowincjonalnego” odpowiedziałaś, że nie uważasz się za pisarkę, a Twoja debiutanka książka to wypadek przy pracy. Jednocześnie przyznajesz, że cały czas coś piszesz. Dlaczego piszesz? Kiedy zaczęłaś i jakie były Twoje początki?

Jestem cały czas na początku! I cały czas coś piszę, ale są to głównie artykuły publicystyczne i krytyczne. Dawno temu miałam co prawda epizod z poezją, ale na szczęście szybko zamieniłam poezję na aparat fotograficzny.

Wydałaś w ubiegłym roku pierwszą książkę *3 dobre uczynki. Twardowski wraca na ziemię* – opowieść o kilkunastoletnim chłopcu, który zmaga się z pewnymi, nie tylko banalnymi, dziecięcymi problemami: jest nieakceptowany przez kolegów, nie umie matematyki, martwi się o zapracowaną mamę, ale przede wszystkim cierpi po stracie ojca. W takim trudnym dla siebie momencie tłucze porcelanową figurkę przedstawiającą

pana Twardowskiego, co uruchamia lawinę zdarzeń. Skąd pomysł na opowiedzenie dalszych losów słynnego pana Twardowskiego?

O panu Twardowskim napisałam pracę magisterską, która była kulturowym studium postaci. Gromadziłam ikonografię, jeździłam śladami czarnoksiężnika, przejrzałam się nawet w węgrowskim zwierciadle... Jeden z rozdziałów pracy (opublikowany później w „Guliwerze”), dotyczył wizerunku Twardowskiego w literaturze dla dzieci i młodzieży. Bardzo stereotypowego wizerunku – trzeba dodać. Motyw Twardowskiego podejmowało wielu pisarzy, kilku z nich zainteresowało się jego księżycowymi dziejami, mało kto jednak pokusił się o walkę z powszechnym wizerunkiem podkręcającego wąsa, dumnego szlachcica na kogucie. Twardowski w literaturze dla dzieci uległ (co oczywiste, inaczej nie mógłby w niej zagościć) uproszczeniu i spłyce. Trochę mu w tym pomógł Mickiewicz, oczywiście...

Chciałam świadomie powalczyć z tym wizerunkiem. Chciałam, jak inni pisarze dziecięcy, sprowadzić go na Ziemię raz jeszcze, ale podwracać pewne konwencje i ogólne wyobrażenia. Dlatego u mnie jest bezdomnym człowiekiem, który dobrymi uczynkami musi budować na nowo świadomość tego, kim naprawdę kiedyś był. Jest taki obraz Wojciecha Gersona przedstawiający scenę wywołania ducha Barbary Radziwiłłówny przez Twardowskiego i właśnie taki czarnoksiężnik mnie interesuje – stary, złamany życiem, nieszczyśny człowiek. I takiego chciałam przemycić do literatury dla dzieci.

Najbliższy jest Ci najmłodszy czytelnik?

Literatura dla dzieci od dawna jest moją pasją – fascynuje mnie jej wielopoziomowość i „pojemność”. Nie wstydzę się jej czytać, nie wstydzę się otwierać w autobusie młodzieżówek i fantastyki. Trochę o tej literaturze piszę do czasopism poświęconych książce dla najmłodszych, „kolekcjonuję” i wypisuję sobie motywy, które uwielbiam potem zestawiać i porównywać. Z uporem maniaka wyszukuję zapomniane tytuły, zdarza mi się publikować interwencyjne teksty apelujące o przywrócenie ich do obiegu czytelniczego. Bawię się literaturą dla dzieci. Uwielbiam literaturę absurdu i tego absurdu szukam między innymi w literaturze dla najmłodszych. Od niedawna mam towarzyszkę w tych literackich wędrówkach. Z trzyletnią córeczką poznaję najnowszą literaturę dla tych naprawdę najmłodszych czytelników. „Testuję”, jak mała Ola przyjmuje klasykę, co okazuje się ponadczasowe. Wspólnie czerpiemy radość z zabawy słowem.

Literatura to świat Ci najbliższy. Otacza Cię i daje chleb. Nie trzeba przecież być pisarzem, by żyć z pisania... Taką możliwość pośrednio mają także bibliotekarze, a Ty jesteś bibliotekarką. Dużo czytasz, a tym, co Cię

porusza w czasie lektury, chcesz się dzielić. Prowadzisz blog z recenzjami przeczytanych książek. Opowiedz coś o tym...

Ha! I tu mnie masz! Faktycznie od kilku lat prowadzę blog, na którym zamieszczam refleksje z przeczytanych książek. Prowadzę go jednak anonimowo, jak zresztą większość blogowiczów książkowych. Choć dla siebie nawzajem nie są oni tak zupełnie anonimowi. Kiedyś byłam w czytelniczej blogosferze bardzo aktywna, dziś jest to czas wydarty innym obowiązkom, a i moje lektury zmieniły się bardzo.

Prowadzenie bloga daje wspianą możliwość uporządkowania przeczytanych lektur, poklasyfikowania ich. Jednocześnie pozwala innym blogowiczom trafić na wartościową pozycję. Blogosfera to fascynujące narzędzie w upowszechnianiu czytelnictwa. Skomplikowane, powiązane w przedziwny sposób z zasadami rządzącymi rynkiem książki. Obserwuję, jak blogowa przestrzeń zmieniała się przez tych kilka lat i jak zainteresowania książkowe blogowiczów pozytywnie wpływały na decyzje wydawnicze. Można by wymieniać tytuły, które zostały przez blogowiczów przywrócone pamięci i powtórnie wydane po tym, jak wyciągnięte z mrocznych magazynów bibliotek zrobiły karierę na blogach. Ale blogosfera to także narzędzie manipulacji wykorzystywane przez wydawców. Z reguły można szybko odróżnić, kto pisze od serca, a kto jest zdeterminowany bezpłatnym egzemplarzem promocyjnym, wziętym ze skrzynki pocztowej, który musi zostać zrecenzowany. Dla mnie najważniejsze jest to, że można za pomocą tego narzędzia wskrzeszać pamięć o zapomnianych książkach.

Z prowadzeniem bloga wiąże się także wiele miłych niespodzianek i nie myślę tu tylko o bezpłatnym wejściu na targi książki. Kiedyś zamieściłam krótkie omówienie książeczki dla dzieci Marko Kitti *Leszek Peszek*, a następnego dnia otrzymałam w komentarzu... pozdrowienia od autora. Nawet bariera językowa nie była przeszkodą. Wiem, że czasami moje blo-

gowe refleksje trafiają do samego twórcy. Czy może być większa satysfakcja?

Określasz siebie także jako bibliofila. Wiem, że namiętnie gromadzisz książki. Wśród nich jest słynna, wyjątkowa dla Ciebie powieść dla dzieci „Alicja w Krainie Czarów”. Opowiedz nam o tej pasji. A wiąże się ona i z książkami, i z blogowaniem, a nawet z fotografią, kolejną Twoją życiową namiętnością, z której przede wszystkim znają Cię czytelnicy „MP”.

Gdybym miała zacząć opowiadać, od czego zaczęła się moja „alicjomania”, zajęłabym cały numer „MP”! I nie jest to wcale książka, którą pamiętam z dzieciństwa. Przeczytałam ją już jako dorosła osoba. Uwielbiam literaturę absurdu, dlatego Szalony Kapelusznik jest moim idolem ☺. Do Krainy Czarów paradoksalnie dotarłam bardzo okrężną drogą, przez twórczość Josteina Gaardera, norweskiego pisarza i filozofa. Cała jego twórczość to przedziwna kraina czarów i z niej się wywodzi. Zgłębiając jego twórczość, przekonałam się, że to Lewis Carroll był geniuszem! Później zobaczyłam na wystawie w księgarni piękne wydanie „Alicji...” z genialnymi ilustracjami Roberta Ingpena. I od tych ilustracji się zaczęło. Od tego czasu gromadzę różne wydania tej książki, oczywiście w miarę finansowych możliwości. Choć bibliofile z reguły żyją w delikatnym oderwaniu od rzeczywistości, wiem aż za dobrze, że nigdy nie uda mi się zebrać wszystkich wydań, które chciałabym posiadać. A fotografia? Szukam dookoła siebie własnej krainy czarów. Obiektyw bardzo w tym pomaga...

Z literaturą związana też jesteś jakby od drugiej strony, od tej „produkcyjnej” – na drodze od pisarza do czytelnika, czyli wtedy, gdy wydawca nadaje książce kształt. Krótko mówiąc, redagujesz cudze teksty... Czy to ma wpływ na Twoją twórczość? Pomaga? Przeszkadza?

Zredagowałam kilka książek zaliczanych do literatury kobiecej (romanse i obyczajówki). Redagowanie nie jest łatwym zadaniem, trzeba nie tylko usprawnić książkę językowo, ale i zadbać o spójność fabuły. Czasami jest to kwestia drobnych szczegółów, które umykają przy pierwszej lekturze. Łatwo się jednak domyślić, że są to zadania fascynujące. To nieustanne ćwiczenie w języku, doczytywanie, szukanie, sprawdzanie. To też sztuka dyplomacji we współpracy z samymi autorami. Bardzo sobie jednak cenię ten dialog z twórcami w czasie pracy nad ostatecznym kształtem językowym i fabularnym książki. Pracując nad tymi powieściami, jednocześnie patrzę na nie jak czytelnik, a to dostarcza mi różnych czytelniczych przeżyć. Czy to pomaga we własnej twórczości? Na pewno ćwiczy kulturę języka i wycucie na językowe niuanse.

Chyba nie jest łatwo wydać książkę? 3 dobre uczynki... ukazały się w dość znanym wydawnictwie – WAM. Jak je znalazłaś? A może ono Ciebie?

Książkę wystąpiłam do dwóch krakowskich wydawnictw, bo czułam, że w swoim rodzinnym Krakowie Twardowski będzie miał większe szanse... Nie pomyliłam się, a dodatkowo historia, którą zaproponowałam, wpisała się dobrze w ideę katolickiego wydawnictwa. Oni zresztą kilka lat temu wydali wzruszającą powieść księdza Łukasza Kamykowskiego *Pajaczek z Księżycy. Niezwykłe dzieje pana Twardowskiego i jego ucznia*. Ksiądz Kamykowski również pozwolił Twardowskiemu zejść na Ziemię i uporządkować swoje sprawy. Nie jestem więc pierwsza i nie jestem ostatnia, która miała potrzebę dopomóc mu w księżycowej pokucie... Tak czy siak, rynek wydawniczy jest nieprzewidywalny – zwłaszcza w sektorze książki dziecięcej. Wydawcy ryzykują niszowymi publikacjami. Ale warto próbować, czasami się udaje. Choć z tego samego powodu nie nastawiam się, że uda się oddać do druku coś

jeszcze. Cieszę się z mojego pana Twardowskiego. Z tego, że i ja dołożyłam trzy grosze do tej fascynującej legendy...

I jeszcze pytanie o prowincję, którego w „MP” nie może zabraknąć. Czy uważasz, że mieszkasz na prowincji? A jeśli tak, to czy przeszkadza Ci to, czy pomaga?

Nie myślę o Radomiu w ten sposób, a przynajmniej usilnie się staram. Czasami tęsknię za kulturalnym klimatem Lublina, niepowtarzalnym, w którym żyłam pięć niezapomnianych lat. Ale trzeba oswajać rzeczywistość, w której się funkcjonuje. Oswajać. Bez sentymentów.

Marta Wiktoria Trojanowska – absolwentka I LO im M. Kopernika w Radomiu oraz polonistyki na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Skończyła także studia podyplomowe w zakresie bibliotekoznawstwa oraz edytorstwa i rynku książki. Jest bibliotekarzem i fotografikiem amatorem zrzeszonym w Radomskim Towarzystwie Fotograficznym. Pokazywała swoje fotografie na kilku wystawach indywidualnych i zbiorowych. Prowadzi dwa blogi, jeden poświęcony recenzjom przeczytanych książek oraz – od niedawna – blog o „Alicji w Krainie Czarów”. Publikuje w czasopismach poświęconych książce: „Guliwer”, „Świat Książki Dziecięcej”, „Biblioterapeuta”, „Bibliotekarz Radomski”. Od 2011 r. współpracuje z „Miesięcznikiem Prowincjonalnym”. W 2014 r. wydała debiutancką książkę dla dzieci 3 dobre uczynki. Twardowski wraca na ziemię.

Rozmowy z kobietami. 38. Radomska Wiosna Literacka

Martyna Bielińska

Tegoroczna 38. Radomska Wiosna Literacka miała oblicze kobiety, nie tylko na zapowiadającym ją zielonym plakacie autorstwa Mariusza Dańskiego, ale przede wszystkim za sprawą spotkań z pisarkami: Anną Janko, Teresą Opoką oraz Magdaleną Tulli. Tradycja radomskich wiosennych spotkań z literatami sięga 1974 r., lecz ich formuła zmieniała się. Na początku w centrum uwagi była poezja, zaś obecnie przeważa proza i co ważne, towarzyszą jej sztuki piękne.

Masz jakieś plany pisarskie?

Nie czuję żadnej presji, że powinnam coś jeszcze opublikować. Cieszy mnie sam proces tworzenia, to, że coś sobie po nocach kreuję, jakieś fabuły, które prowadzę po swojej myśli. Nie muszę ich nawet kończyć, nie muszę wychodzić poza szkice i plany. Najważniejsze, że na kartce papieru można wszystko... W życiu niekoniecznie. Jestem jednak przede wszystkim czytelnikiem. Zachłannym, namiętym czytelnikiem.

Ilona Michalska-Masiarz

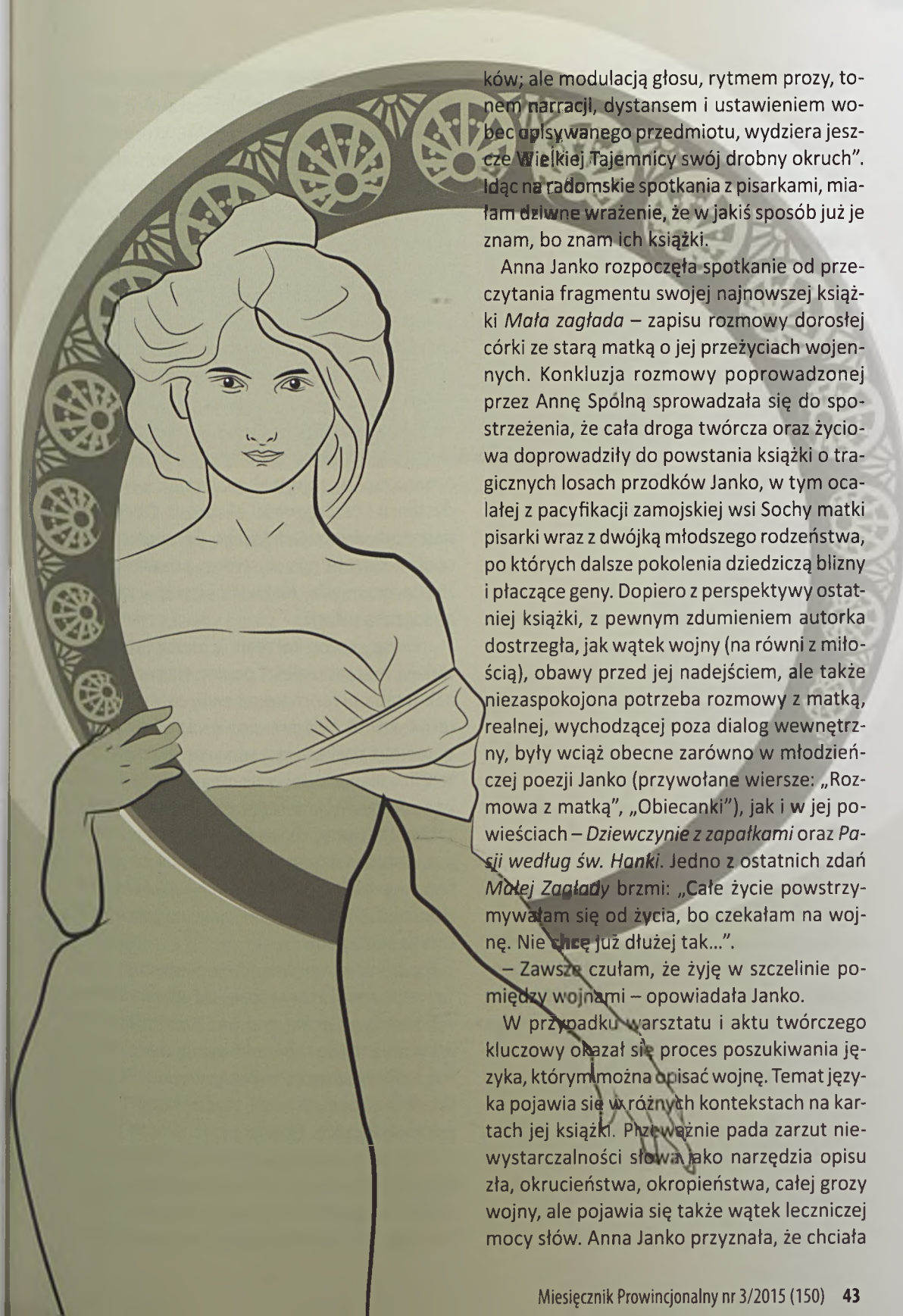
Czego chcemy się dowiedzieć na spotkaniu z autorem, czego nie znaleźliśmy w jego książkach? Okazuje się, że najbardziej nurtuje warsztat pisarza, pewnie także w jakimś stopniu jego osobowość. Gustaw Herling-Grudziński, znający zarówno mękę, jak i radość tworzenia, twierdził, że „dobry powieściopisarz czy nowelista treścią ukrytą w formie wyraża swój stosunek do życia. Ma o życiu niewiele nowego od powiedzenia wprost po tym, co zostało już powiedziane przez jego poprzedni-

ków; ale modulacją głosu, rytmem prozy, tonem narracji, dystansem i ustawieniem wobec opisywanego przedmiotu, wydiera jeszcze *Wielkiej Tajemnicy* swój drobny okrucuch”. Idąc na radomskie spotkania z pisarkami, miałam dziwne wrażenie, że w jakiś sposób już je znam, bo znam ich książki.

Anna Janko rozpoczęła spotkanie od przeczytania fragmentu swojej najnowszej książki *Mała zagłada* – zapisu rozmowy dorosłej córki ze starą matką o jej przeżyciach wojennych. Konkluzja rozmowy poprowadzonej przez Annę Spólną sprowadzała się do spostrzeżenia, że cała droga twórcza oraz życiowa doprowadziły do powstania książki o tragicznych losach przodków Janko, w tym ocalałej z pacyfikacji zamojskiej wsi Sochy matki pisarki wraz z dwójką młodszego rodzeństwa, po których dalsze pokolenia dziedziczą blizny i płaczące geny. Dopiero z perspektywy ostatniej książki, z pewnym zdumieniem autorka dostrzegła, jak wątek wojny (na równi z miłością), obawy przed jej nadejściem, ale także nieaspokojona potrzeba rozmowy z matką, realnej, wychodzącej poza dialog wewnętrzny, były wciąż obecne zarówno w młodzieńczej poezji Janko (przywołane wiersze: „Rozmowa z matką”, „Obiecanki”), jak i w jej powieściach – *Dziewczynie z zapalnikami* oraz *Pasji według św. Hanki*. Jedno z ostatnich zdań *Małej Zagłady* brzmi: „Całe życie powstrzymywałam się od życia, bo czekałam na wojnę. Nie chciałam już dłużej tak...”.

– Zawsze czułam, że żyję w szczelinie pomiędzy wojnami – opowiadała Janko.

W przypadku warsztatu i aktu twórczego kluczowy okazał się proces poszukiwania języka, którym można opisać wojnę. Temat języka pojawia się w różnych kontekstach na kartach jej książki. Przeważnie pada zarzut niewystarczalności słowa jako narzędzia opisu zła, okrucieństwa, okropieństwa, całej grozy wojny, ale pojawia się także wątek leczniczej mocy słów. Anna Janko przyznała, że chciała



stworzyć dyskurs uniwersalny, niezwiązany wyłącznie z indywidualną historią jej mamy Teresy Ferenc czy z historią Zamojszczyzny. Dlatego w książce zawarła liczne przykłady losów dzieci wojennych z całego wieku XX.

– To były dwa lata pisania ze ściśniętym gardłem, pełne napięcia. Z książki wycięłam ostatecznie pięćdziesiąt stron – przyznała Janko.

Książki Anny Janko są autobiograficzne, jak mówi autorka: „piszę, przewlekając przez siebie”. Zaznaczała przy tym, że nie można mówić o wyłącznym odwzorowywaniu jej doświadczeń, ponieważ w sposób konsekwentny używa tych samych narzędzi językowych do tworzenia prozy i poezji, celowo chcąc przyciągnąć czytelnika tak blisko, jak się tylko da. Znamienne zdanie „taką książkę mogła napisać tylko kobieta i tylko kobieta może ją zrozumieć” dotyczyło, co nieoczywiste, *Małej Zagłady* i opisanego w niej wątku więzi z matki dzieckiem i momentu rozdzielenia, oderwania go od matki.

Ze spotkania z Magdaleną Tulli zostało mi wrażenie kontrastu i wspomnienie niejednego zaskoczenia. Z jednej strony sala wypełniona czytelnikami (także młodzieżą!), z drugiej pisarka w rozmowie z Anną Spółną – rzeczowa, zdawkowa w udzielaniu odpowiedzi, osobna, ale przy tym głodna kontaktu z osobami zgromadzonymi w sali radomskiej biblioteki. Już na wstępie, zaraz po odczytaniu fragmentu ostatniej powieści pt. *Szum*, autorka zapytała, czy ona też może zadawać pytania. Ciekawiło ją, ile spośród obecnych osób jest po lekturze książki. Od początku dostrzegłam w Magdalenie Tulli chęć nawiązania porozumienia, bo jak przyznała podczas spotkania, jest to cel jej pisarstwa. Warto przy tym zauważyć, że wspólnym mianownikiem światów zbudowanych z jej słów, wręcz motywem przewodnim jest to, że ludzie w tych książkach się nie rozumieją od początku do końca, w całej rozciągłości. W toku rozmowy można było przyjrzeć się światom wykreowanym i postaciom stworzo-

nym i żyjącym na stronicach dzieł Magdaleny Tulli, szczególnie tych dwóch ostatnich (*Włoskie szpilki* (2011), *Szum* (2014)), które łączy temat oraz brak imion i nazwisk bohaterów. Jednak szybko analiza oraz próby przykładania kluczy interpretacyjnych ustąpiły miejsca pytaniom. Dwie postaci z *Szumu*, lis i esesman, wymagały komentarzy. Ważnym komponentem spotkania z pisarką był humor, który ratuje nie tylko przygniecionych ciężarem przeszłości albo niedostosowanych do reguł życia bohaterów literackich, ale także samą autorkę. Podchwytując ten wątek, Magdalena Tulli opowiedziała o eksperymencie z kotem Schrödingera, związanym z zasadą nieoznaczoności, zupełnie zacierając wrażenie dystansu i oszczędności ekspresji. Obecność narratora wypowiadającego się w pierwszej osobie kieruje nas w stronę poszukiwania zbieżności między historią opisaną w książce a biografią pisarki.

– Pisząc, każdy korzysta z osobistego materiału, inaczej szeleści papier. Najpierw jednak trzeba przepracować swój osobisty materiał wzdłuż i wszerz, dopiero potem pisać. W moich książkach jest sporo osobistego materiału. Najbardziej autobiograficzną książką są *Tryby*. Mój materiał jest jednak nie tyle zakamuflowany, co przemontowany, stosuję montaż – skomentowała Tulli. I choć autorka nie odżegnywała się od wątków wziętych z własnego życia, zaznaczyła jednak na koniec spotkania:

– Ja tu nie jestem ważna, to nie jest o mnie. To jest sprawa, która może służyć wszystkim.

Teresa Ewa Opoka, pisarka z Radomia, która w każdej książce zahacza o swoją małą ojczyznę, opisując proces twórczy, wymieniła dwa składniki: trochę prawdy, trochę fantazji – jak w każdej książce. Pisarka przyznała, że intrygujące i poruszające czytelniczki historie zawdzięcza obserwacjom, ale w przeważającej mierze umiejętności bycia słuchaczem i wielu godzinom spędzonym na rozmowach. Spo-

fot. archiwum MBP w Radomiu



Magdalena Tulli podczas spotkania z czytelnikami w bibliotece w Radomiu

tkanie z pisarką składało się z niekończących się anegdot. Autorka uważa, że twórczą ciągłość zawdzięcza idealnym warunkom, o których marzy każdy pisarz – chacie na wsi. Ciekawe, czy przesiąknięte przytłaczającym rytmem Warszawy Anna Janko i Magdalena Tulli mają podobne marzenia?

We wszystkich spotkaniach z pisarkami dostrzegłam powtarzający się wątek relacji z matką, której kluczowym elementem jest rozmowa. W przypadku Anny Janko jest to rozmowa późna, ale taka, do której doszło i którą można było odtworzyć w *Małej Zagładzie*. W twórczości Magdaleny Tulli jest potrzeba rozmowy, potrzeba słów skierowanych do dziecka, a potem do dorosłego człowieka, które ostatecznie nie padają. Teresa Opoka, przedstawiając fabułę swojej nowej książki pt. *Kalinowe serce*, która dopiero się ukaże, zachęcała młode dziewczyny do rozmów z matkami. Książki Anny Janko i Magdaleny Tulli pokazują, jakie szkody może wyrządzić brak takich rozmów, chociaż wola oczywiście musi się pojawić u obu stron dialogu.

W ramach Radomskiej Wiosny Literackiej pojawiła się także inna forma spotkania z literaturą – przeczytany przez aktorów IV

akt spektaklu poetyckiego *Kochanie, jutro zaczniemy od nowa*. Pomyśl zrodził się najpierw w głowie Roberta Stępniewskiego związanego z Teatrem Resursa, który zachęcił pisarza i dramaturga Grzegorza Bartosa do podjęcia się adaptacji tekstów poetów z Radomia.

– Gdy czytałem wiersze, które zo-

staną zaprezentowane, zdziwiło mnie podejście do poezji jak do sztuki użytkowej, jak do prozy, co okazało się pomocne przy adaptacji – stwierdził Grzegorz Bartos w swoim wprowadzeniu poprzedzającym spektakl.

Artyści zdecydowali się na kameralną formę adaptacji, rezygnując z atrybutów widowiska, takich jak śpiew czy skecz, by dać wybrzmieć frazom, skupić się na wykreowanej relacji i móc uchwycić intymność. Na tkanekę prezentowanej części komedio-dramatu damsko-męskiegołożyły się wiersze dwojga poetów – Ewy Nakoniecznej oraz Pawła Podlipniaka. Dialog poetycki odczytali aktorzy Teatru Resursa Dorota Lewandowska i Robert Stępniewski. Można uznać, że występ aktorów był namiastką inscenizacji. Usadowieni na wysokich stołkach z kartkami w dłoniach, ubrani w dżinsy i białe bluzki, oddzieleni jedynie (a może aż?) ekranem projekcyjnym, czytali na przemian wiersze. Być może ten sposób odczytywania sugerował formę dialogu, jednak jeśli wziąć pod uwagę padające słowa, całość ułożyła się bardziej w niemoc porozumienia, monologowanie, dialog pozorny. Na wspomnianym ekranie ukazywały się zdjęcia, zapis z życia i bliskości postaci z dramatu:

wspólne spacer, spojrzenia, strzępy czułości, a w wierszach pobrzmiwało pragnienie bliskości, jednak już podszyte poczuciem klęski, kresu uczucia. Specyficzna interpretacja Doroty Lewandowskiej, opierająca się na ciągłym chichotaniu i pozostawianiu na jednym pułapie emocji, gubiła sensy i niuanse. Robert Stępniewski natomiast próbował wyeksponować poezję, jedynie lekko zabarwiając ją intencją, dodając niekiedy oszczędny gest czy znaczące spojrzenie. O zamierzonej poincencie spektaklu – śmierci bohaterki – dowiedziałam się z kularowych rozmów, ale być może byłam jedynym widzem, który nie odnotował tragicznego końca ani na podstawie tekstu, ani inscenizacji. Natomiast sama tematyka wydała mi się niezwykle spójna, wciąż oscylująca wokół kwestii porozumienia i roli rozmów w naszym życiu, które mogą w takim stopniu zaważyć na ludzkich losach.

Radomska Wiosna Literacka to przedsięwzięcie, które promuje literaturę, czytelnictwo i zachęca do regularnego sięgania po książki, w tym także po książki ze zbiorów bibliotecznych. Organizatorzy mają świadomość, że potrzeba czytania rodzi się na ogół w dzieciństwie, dlatego w programie znalazło się sporo propozycji dla najmłodszych czytelników. Jako pierwsza spotkała się z dziećmi Jenny Robertson, szkocka pisarka i poetka, by opowiedzieć o swojej książce o niedźwiedziu Wojtku pt. *War Bear Hero*. Historia niedźwiedzia Wojtka, który przeżył szlak bojowy z armią Andersa, nosił pociski w bitwie pod Monte Cassino, był wzorem męstwa oraz doskonałym partnerem żołnierzy w zapasach, uruchamia dziecięcą wyobraźnię, ale także poszerza wiedzę i pokazuje fascynującą stronę historii, która wcale nie musi być skostniała i nudna. Podróż w dzieje jeszcze odleglejsze proponował maluchom radomski bajkopisarz Wojciech Krupa, który zachęcał do przeczytania swojej najnowszej książki *Radomir. Legenda o powstaniu Radomia* oraz pozostałych bajek takich jak *Kłopoty czarnego liska*

czy *Słonik Nicponik*. Wojciech Krupa jest także animatorem kultury, co znalazło swoje odzwierciedlenie w formule spotkania, które składało się głównie z zabaw dla maluchów. Wątek pisania dla najmłodszych pojawił się także podczas spotkania z Teresą Opoką, podczas którego rodzice dopytywali się o przyczynę rezygnacji z tego typu twórczości. Autorka przyznała, że gdy pisze dla dorosłych, język nie ma żadnych ograniczeń, a w przypadku odbiorcy dziecka trzeba być niesłychanie skrupulatnym w doborze słów.

W programie 38. Radomskiej Wiosny Literackiej nie zabrakło miejsca dla sztuk pięknych. Wystawa malarstwa Longina Pinkowskiego miała charakter retrospektywny, dając możliwość obejrzenia obrazów z kilkunastu lat działalności twórczej. Ostatnim akordem radomskich spotkań z literaturą było otwarcie wystawy fotografii „Andrzej Wajda w Radomiu” autorstwa Stanisława Zbigniewa Kamińskiego. Na ponad czterdziestu fotografiach Kamiński uchwycił ślady pobytu Andrzeja Wajdy w Radomiu i jego późniejsze związki z miastem, w którym reżyser przeżył lata młodości i odkrył swoje powołanie do bycia artystą. Są to głównie fotografie związane z radomską kolekcją sztuki współczesnej II połowy XX w., do której Wajda przez wiele lat przekazywał obrazy znanych artystów i był inicjatorem utworzenia nowej przestrzeni dla jej ekspozycji w radomskiej „Elektrowni”. W ostatnim dniu zakwitły z niebywałym przepychem japońskie wiśnie, które rosną na dziedzińcu biblioteki przy ulicy Piłsudskiego, co, moim zdaniem, było jej doskonałym i symbolicznym uwieńczeniem.

Martyna Bielińska

38. Radomska Wiosna Literacka, Miejska Biblioteka im. Józefa A. i Andrzeja S. Załuskich w Radomiu, 21–25 kwietnia 2015 r.

Lato. Bo będzie za późno

Robert Utkowski

Taka sytuacja: Radom, sklep spożywczy na Wacynie, obok pizzerii Bella Italia. Wymiana zdań:

– Marlboro proszę.

– Nie ma. Zazwyczaj mam, ale teraz Bułgarzy obok robią imprezę, wykupili marlboro i dawałowy.

Italia, Wacyn, Radom, Bułgarzy. Kosmopolito, teoretycznie, w praktyce raczej żenua, może przez to *bella* wrzucone w naszą rzeczywistość jak zapachowa kostka do szamba. Bella Italia.

W innym miejscu tego miasta podjeżdżam na benzynową stację. Mam ze sobą kanisterek na paliwo; używam go od lat. Ma dokładnie pięć litrów, więcej nie wchodzi, choćby się zesrał. Nawet pięć trudno wcisnąć, pod korek łać trzeba, ostrożnie, żeby nie pociekło. Pięć litrów. Cyfrą: 5. Podjeżdżam na jedną z nowiutkich, nowością pachnących, acz niewielkich, małych, lecz dużych, skromnych, a bogatych. Leję. W mój pięciolitrowy kanisterek wchodzi dokładnie pięć i pół litra benzyny, tyle wskazuje nowiutki dystrybutor. Nie napiszę gdzie, i kto to. Przyjdźcie, powiem wam.

To wkurza.

A może wkurza to, że teraz wszystko dzieje się z dużą prędkością. Że informacje padają jak strzały w ciemnym zaułku Bronksu w latach 80. XX w. Że rzeczywistość gna jak to nasze nowe pendolino i jak ono nie wychyla się na zakrętach, więc łatwo wylecieć. Że po prostu miało być z roku na rok łatwiej, a nie jest. Jak na polnej drodze, którą raz na jakiś czas muszę przejechać: w miejsce zasypanych tłuczniem dziur szybko pojawiają się następne. I jak w moim, nieco już wiekowym, ale wciąż żwawym aucie: po naprawie z przodu psuje się coś z tyłu. I odwrotnie.

Czasami przerzucając stare zdjęcia (tak, tak stare, że jeszcze nie wgrane do komputera), zastanawiam się, co się stało z tym czasem. Kiedy

minął? Ile z tego, co się wydarzyło, zostało we mnie? Ile rzeczy przegapiłem?

Mam nadzieję, że z tych naprawdę ważnych nie przespałem niczego. Że byłem na każdym etapie, i niemal w każdym momencie. Że było fajnie. Ale miało być coraz fajniej. I wiem, że to te cholerne deszcze. Że brak słońca i brak endorfin. Że wystarczy odpocząć i złuzować. Wyjechać gdzieś na kilka dni. Obejrzeć coś innego, lub, jak kto woli, zajrzeć do miejsc, które doskonale znamy. Zobaczyć, co tam słychać. Czy kawa na rogu nadal taka dobra. I czy grają tam jeszcze Louisa Armstronga, Nat King Cola, Franka Sinatra, Raya Charlesa, a nawet bluesowe covery Michaela Jacksona.

Pewnie grają. I pewnie nadal czterdziestoparoletnie kobiety nie mogą się oprzeć, widząc tort bezowy, który potem, kiedy sen się już wyśni, będą spalać na siłowni w długie zimowe wieczory, obiecując sobie, że już nigdy więcej. I pewnie nadal pięćdziesięcioletni mężczyźni wypijają o kilka kolejek za dużo i przystawiają się do dużo młodszych kelnerów, z nadzieją, że może znów uda się robić z nimi dzieci-kwiaty. I pewnie nadal bar w Bieszczadach, stoi jak stał.

Ale koniecznie trzeba tam jechać i to zobaczyć. Przekonać się na własnej, na początku jeszcze nieopalonej skórze. Poczuć pod stopami piasek plaży, żwir górskich ścieżek, lodowatą wodę ciepłego Bałtyku. Lub ukrop mórz śródziemnych. Poczuć smak ryby z grilla, zapach domu z bali, dotyk przewodnika, wskazującego w dziczy dzikie zwierzę. Lub odwrotnie: poczuć smak domu z bali, zapach przewodnika i dotyk ryby z grilla.

Zależy jaka była impreza na powitanie.

Więc jedźcie. Zalejcie paliwa do pełna, a nawet więcej, nie dajcie Bułgarom wykupić waszych papierosów, choć palenie teraz strasznie niemodne, nie traćcie ani chwili.

Jedźcie, póki Lato. Bo potem będzie za późno.

POLA RYŻOWE GRZĄSKIE JAK HISTORIA

i ta tak zajełbieście długa fraza, dla której każdy wers
 trzeba było zaczynać tuż-tuż i kończyć aż hen, a czasem dalej.
 i ta piosenka, którą nuciłem wchodząc, wychodząc paliłem się
 ze wstydu. i ten neon w piwnicy z napisem sex peerelowska podróbka
 kolorów time square. i ta piwnica, w której chowaliśmy się przed światem
 paląc tanie papierosy bo tylko na to było stać nasz szczeniacki sprzeciw
 (więcej w tym było popu niż artu). i ta bezdyskusyjnie ważna sprawa
 za którą wtedy oddalibyśmy życie a dzisiaj
 dzisiaj sam już nie wiem.
 te góry i doliny, które chcieliśmy przemierzać zanim lekarze nie wydali zakazu
 łamiąc sobie głowę jakim cudem w ogóle jeszcze.
 i ta bójka przy torach z cyganami w której polegliśmy mężnie, a o której
 do śmierci nikomu ani słowa.
 i ten klucz zgubiony tamże i pierwsze pocałunki, choć to jednak
 kilka metrów dalej (tego drzewa już nie ma).
 i twój ptasi głos z drugiego końca drutu szeleszczący coś o dzieciach
 indygo tak się wystraszyłem samego słowa
 dzieci, teraz
 boję się inaczej. i ta wściekłość, że niestety, jednak jestem
 śmiertelny.

Robert Utkowski

Oficjalny debiut na łamach kwartalnika „Kresy” 1997 r. W tym samym roku nieoficjalny (bo poza numeracją ISBN) tomik wierszy, *Najdłuższa noc pod słońcem*.

Publikacje m.in. w „Kresach” (Lublin), „Na Dziko” – dodatek do katowickich „Opcji”, „bruLionie” (Warszawa), „Kartkach” (Białystok), miesięczniku „Lamelli” (Kraków), „Miesięczniku Prowincjonalnym” (Radom).

Kilka wyróżnień i nagród w konkursach poetyckich (nie zawsze pod własnym nazwiskiem).

Publikacje w antologiach i wydawnictwach pokonkursowych (Oleśnica, Sopot, Kraków).

W 2008 r. w Laboratorium Dramatu w Warszawie odbyło się aktorskie czytanie jego sztuki „TRAMTADRADA” w reżyserii Piotra Jędrzejasa.

Opublikowane książki: *Fluktuacje* (2003 r.), *Czarna Taksówka* (2011 r.), *Katalog Wystawy* (2013 r.)



MAKSIMUS, ZIMA – LATO

miałem swoje małe himalaje tej podłej zimy
 kiedy trzęsła się ziemia i lawiny schodziły po dachach. wszyscy
 pisali wiersze, gówniane wiersze bez jaj. moje
 były bliźniaczo podobne

choć łudziłem się że jeszcze czasem
 jestem w stanie kogoś poszerzyć. w tamtych czasach
 zajmowały mnie drewniane konstrukcje
 studiowałem

ciesielstwo, drewno wybaczało łatwiej niż złośliwi krytycy,
 ale jak zwykle utknąłem w trzech czwartych. podobnie moja długa podróż,
 z którą już nic się nie da zrobić. z roku na rok
 coraz mniej słońca.

w odległym mieście umierało dziecko, nikt go nie przekreślił,
 choć większość postawiła na nim krzyżyk. potem, wiele lat później,
 będzie się śnić ta sytuacja,
 ten port.

lubiłem też patrzeć jak śpią. z rękami nad
 z rękami pod głową. zastanawiało mnie, dokąd jedziemy,
 jaką drogą. maksimus kołysał nas do snu, z prawej na lewą,
 wytrwale.

I OTO SŁOWO SIĘ STAŁO

i oto słowo się stało, znów palą gardło pite duszkiem koktajle
 mołotowa. europa rozszczękała się wypluwając w eter serie cyfr
 z numerycznych radiostacji, cicho na tyłach pracują
 jeden osiem siódma cztery
 jeden osiem siódma trzy

tu lech tu lech halina tęcza halina tęcza
 siedem dwa zero zero. zero pięć. osiem.

dzień po dniu. ostatnie minuty ciszy zanim znów rozpęta się piekło

przykładam palce tam, gdzie przechodzi główna tętnica:
 nic, żadnych oznak. numer alarmowy milczy jak zaklęty.



Ciesz się tym, co masz. „Cabaret” w inscenizacji Waldemara Zawodzińskiego

Krystyna Kasińska

Po raz pierwszy od wielu lat byłam naprawdę zaintrygowana premierą na radomskiej scenie. Na Międzynarodowy Dzień Teatru przygotowano bowiem „Cabaret”. Podobnie jak wielu miłośników kina świetnie pamiętam słynny oscarowy film Boba Fossa z niezapomnianymi kreacjami aktorskimi i piękną muzyką, więc pomysł realizacji na deskach radomskiego teatru tego owianego legendą musicalu wydał mi się karkołomny. Niepotrzebnie. Rozmach inscenizacji, gra i śpiew aktorów, a także nowiutki czerwony dywan, po którym – po raz pierwszy – przekraczało się progi teatru, godne były święta teatru.

Na początek przypomnijmy fabułę – wplecioną w główny wątek musicalu miłosną historię Clifforda i Sally, a wszystko to w rozwiązej atmosferze przedwojennego berlińskiego kabaretu. Do Berlina lat 30. minionego wieku przyjeżdża Clifford Bradshaw – Amerykanin bez grosza przy duszy, za to z ambicją, aby zostać wziętym pisarzem. Trafia do kamienicy pani Schneider, która (upewniwszy się naj-

pierw, czy potencjalny lokator będzie płacił) przygarnia różne, najczęściej oryginalne postaci. Sąsiadują więc emerytowane „porządne” Niemki i niejaka pani Kost – osóбка o wątpliwej reputacji, ale cenny nabytek, bo płaci regularnie. Pieniądze na czynsz uzyskuje od licznych klientów, najczęściej żołnierzy, którym świadczy usługi – jak tłumaczy – dla dobra ojczyzny. Mieszka tu także Sally Bowles, amerykańska szansonistka i gwiazdka berlińskiego kabaretu Kit Kat. I to ona przygarnia do siebie Clifforda. Bratersko-siostrzany układ przeradza się w głębsze uczucie, które dziewczyna dzieli między obiecującego pisarza Clifforda Bradshawa i zamożnego zwolennika nazizmu – rodującej się nowej niemieckiej ideologii – Ernsta Ludwiga, który niejednoznacznie przyjaźnią obdarza także Clifforda. Ich sielanka zostaje skutecznie zakłócona, gdy piosenkarka zachodzi w ciążę. Sally nie chce zrezygnować z pracy w kabarecie, nie chce też wyjeżdżać z Niemiec, choć neonaziści śmiało zagarniają kolejne dziedziny życia społecznego. Ich ofiarami padają również pani Schneider i kochający ją

żydowski sklepikarz Rudolf Schultz, których miłość nie przetrwa naporu nowej ideologii. Rudolf Schultz zostanie „naznaczony” sześcioramiennej gwiazdą i zepchnięty na margines życia, a pani Schneider, w obawie przed utratą kamienicy, zrezygnuje z jego uczuć. Clifford przerażony wszechobecnością nieludzkiej ideologii wraca do Ameryki, a Sally pozbywa się dziecka, zadowolając się rolą gwiazdy kabaretu i zachowując jakże przydatną przyjaźń Ludwiga.

W radomskiej inscenizacji Waldemara Zawodzińskiego w sceniczną przestrzeń wbudowano dwa światy, oddzielając je ponurą, szaroburą ścianą kamienicy. Za nią kipi pełen przepychu beztroski świat kabaretu: radosny, wypełniony śmiechem, tańcem i śpiewem. Ściana staje się tłem dla życia, w którym roi się od problemów, z jakimi borykają się ludzie walczący o normalne, godne życie.

Światem kabaretu „rządzi” Konferansjer – Łukasz Mazurek. Widziałam go w roli fajtlapowatego głupca w „Kolacji dla głupca” i nie podejrzewałam o tyle sceniczną ekspresję. Wygląda jak barwny ptak: kolorowe stroje, różnokolorowa fryzura i ekspresja sceniczna, której trudno nie zauważyć. Wydawać by się mogło, że niełatwo będzie „przebić” filmową kreację Joela Grey’a, jednak, patrząc na Mazurka, przekonujemy się, że przy sporach umiejętnościach aktorskich można podjąć takie ryzyko. Nie najgorzej wypadła także Magdalena Placek w roli Sally. Nie dała plamy, przede wszystkim dlatego, że naprawdę umie śpiewać (momentami z dużym wysiłkiem, niepotrzebnie przypominającym krzyk, co składam na karb premierowych emocji). Potrafi też oszczędnie używać gestu i ruchu w scenach z codziennego życia, choć w kabarecie idzie na całość. Tyle o osobach dźwigających świat kabaretu, bohatera musicalu.

A jaki jest bohater? Nie pamiętam takiego rozmachu inscenizacyjnego na radomskiej scenie i tyle... kiczu od lutego 1996 r. To data

premiery „Józefa i jego cudownego płaszcza w technikolorze”, musicalu A.L. Webbera, gdzie także nie brakowało starannie zaplanowanego kiczu. Nie pamiętam już, czy wówczas także grała orkiestra, co najnowszej premierze dodało urody i „zrobiło” klimat. Na pewno scenę zaludniły tłumy aktorów i statystów, a przepych kostiumów zaskakiwał. Tym razem również aktorów kabaretowych jest moc, a kostiumy zaskakują... oszczędnością materiału. Golizny w różnych konfiguracjach dostatek. Są też złote akcenty w interesujących układach choreograficznych, baletowa szkoła Kamasutry i wszystko, co kojarzy się z tego typu rozrywką: fordanserzy, prostytutki, siłacze, żigolaki, girlsy, tresser. Jak w każdym kabarecie są – moim zdaniem – sceny pomysłowe czy pełne urody, jak wspomniana Kamasutra czy taniec starszej damy w bieli (świetny Alan Bochnak). I, w myśl zasady dla każdego coś miłego, nie brak scen takich sobie (przemarsz prostytutek). Każdy znajdzie coś dla siebie.

zupełnie inaczej zbudowany jest świat realny, z drugiej strony ściany. Na pierwszy plan wysuwa się Izabela Brejtkop jako pani Schneider – właścicielka domu. Pozornie szorstka, walcząca o każdy grosz, w głębi serca marzy o wielkiej miłości, a kiedy ją już spotyka, musi z osobistego szczęścia zrezygnować. Izabela Brejtkop ma największe pole do popisu i – jak zwykle – nie zawodzi. Kiedy trzeba, jest kobietą, że do rany przytóż, kiedy indziej zwykłą żołą, rozpacza zaś z przejmującą powściągliwością. Partneruje jej przekonujący Jarosław Rabenda w roli żydowskiego sklepikarza Rudolfa Schultza. Aktor także prowadzi swoją postać oszczędnymi środkami wyrazu. Początkowo nieśmiały, nadto nawet wyciszony, zmienia się dzięki odwzajemnionej miłości. Stać go na uśmiech, nawet na żartobliwe podejście do życia – tak opowiada o sobie. Wzruszająca jest scena tańca zakochanych z ananasem w roli głównej, a najbardziej pomyślowa i zabawna scena narodzin dziecka, czyli

Rudolfa, brzydkiego niemowlęcia. Kiedy świat zewnętrzny ingeruje w tę miłość, znacząc Rudolfa stygmatem sześcioramiennej gwiazdy, on także wpada w rozpacz, zagrana subtelnie, więc tym bardziej poruszającą.

Jak powiedział w wywiadzie reżyser Waldemar Zawodziński, okropność systemów totalitarnych niekoniecznie symbolizuje krew. W „Cabarecie” pokazuje to dobitnie zasada: gdzie nie ma miejsca na miłość, tam triumfuje nienawiść i okrucieństwo. Symbolizuje je Ernst Ludwig, czyli bardzo dobry w tej roli Piotr Kondrat. Ten początkowo miły, lubiący beztroskie życie mężczyzna pod wpływem nowej ideologii przeradza się w bezwzględną i groźną bestię. Szczególnie poruszająca jest ostatnia scena, w której Piotr Kondrat, wędrując w ciemną przestrzeń nowego świata i jego odmienionych obywateli, uważnie lustruje przez ramię

widownię, jakby sprawdzał, czy ktoś nie ośmiela się kwestionować nowego porządku.

Wspominając o różnych rolach, trzeba wymienić udany epizod Joanny Jędrejek (pani Kost), atrakcyjnej kobiety beztrosko śpiącej z żołnierzami, a także rótki-perłki, czyli przeurocze stare Niemki, w które wcielają się... Włodzimierz Mancewicz, Wojciech Ługowski i Ryszard Mróz. Niestety, na tym tle blado wypadł Marek Nędza w roli Clifforda. Jego młody pisarz jest tak nijaki, że można się jedynie dziwić zauroczeniu, jakiemu ulega Sally.

Radomską inscenizację kończy piosenka „Jutro należy do nas” w wykonaniu licznych aktorów i sporej grupki dzieciaków. Na mrocznej scenie melodyjna fraza przeradza się w groźny hymn, któremu towarzyszy znany gest wyciągniętej dłoni i spojrzenie lustrującego widownię NSDAP-owca. Stwierdzenie „do nas należy od jutra świat” może skutecznie unicestwić chęć do kabaretowej zabawy. Tym bardziej że pytanie, co narodzi się w świecie pozbawionym wzajemnej życzliwości, i dziś wydaje się być aktualne.

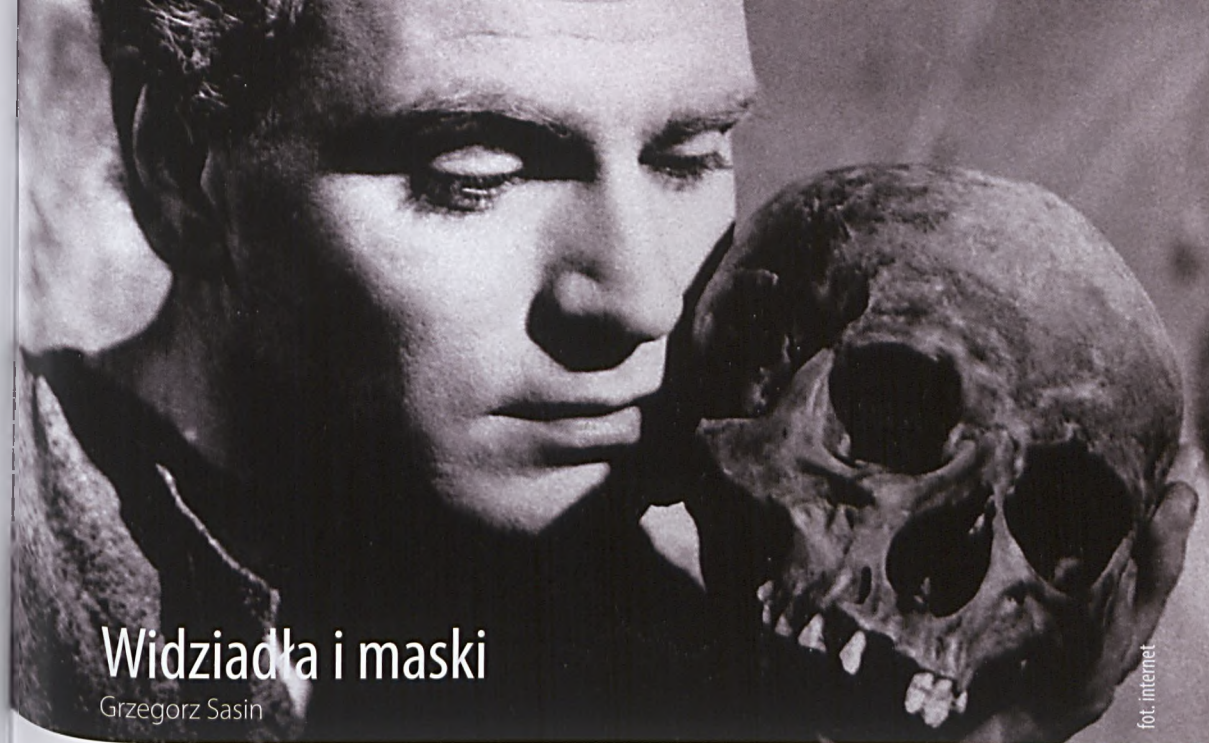
Życie wszak kabaretem jest, jak przypomina tytułowa piosenka, więc może warto nauczyć się czerpać radość z tego, co się ma. Tak twierdzi jeden z bohaterów musicalu. Lecz aby się o tym przekonać, warto obejrzeć najnowszą inscenizację na radomskiej scenie, choć jest to dość długie przedstawienie.

Krystyna Kasińska

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. „Cabaret”. Libretto w przekładzie Kazimierza Piotrowskiego: Joe Masterhoff. Muzyka: John Kender. Teksty piosenek w tłumaczeniu Wojciecha Młynarskiego: Fred Ebb. Inscenizacja, reżeria i scenografia: Wojciech Zawodziński. Kostiumy: Maria Balcerek. Kierownictwo muzyczne: Teresa Stokowska-Gajda. Choreografia: Edyta Wasłowska. Premiera na Dużej Scenie: 27 marca 2015 r. w Międzynarodowym Dniu Teatru.



Magdalena Pacek – Sally Bowles
i Marek Nędza – Clifford Bradshaw



Widziadła i maski

Grzegorz Sasin

Hrabal: „Ma pani pojęcie, co się będzie działo, jak lord Olivier zacznie spacerować po kinie z rozpiętą czaszką w ręku? Wie pani, Marzenko, kto to był Hamlet?”

– Nie ... – uśmiechnęła się Marzenka.

– To był taki jeden gość z fantazją. Człowiek, który brał wszystko na serio. Rekordzista, który w końcu wypisał swoje credo własną krwią, podczas gdy trup jego panny płynął pod prąd...”

1.

Laurence Olivier: Hamlet heroiczny, energiczny, przewrotny, a jednak na wskroś retoryczny. Intelktualista, który zagadał się na śmierć własną i innych. Bo taką miał fantazję, jak chce pan Hanta, bohater opowiadania *Baron Münchhausen* Bohumiła Hrabala. I nic dziwnego, bo gadaniem można postawić świat na głowie. Uwikłać siebie i otoczenie w zgrabne syllogizmy. Tym bardziej że Szekspirowski Hamlet nie jest typem, który nagina się do przyjętych konwencji. Jest inny. Ma cechy wyjątkowości. Dystans. I to właśnie podkreśla Olivier swoją rolą: pogarda geniusza wobec po-

spolitaków. Pogarda ukryta za retoryką sprawiedliwości, obsesją czystej sprawiedliwości. Ale Hamlet dopiero zaczyna tej sprawiedliwości, jej istoty, szukać – w sobie. Zaczyna poznawać siebie, badać swoje możliwości, gdy po powrocie ze studiów do domu zastaje określoną sytuację. Został wrzucony, niczym kulka ruletki, w grę prowadzoną w zastanej przez siebie rzeczywistości, która zmusza go do ujawnienia swoich możliwości. Dlatego też przybiera maski: bohatera, aktora, filozofa, szaleńca. Bo sądzi, że lepiej „Znieść ów ból znany raczej, niż ulecieć ku innym, których nie znamy” (tł. M. Słomczyński). Ale mimo swych syllogizmów, czynów, a nawet perfidii, którą nieoczekiwanie wydobywa z Hamleta Laurence Olivier, przegrywa. Jego intrygę wieńczy stos trupów, a zwycięzcą jest król Norwegii. Hamlet nie rozpoznał siebie do końca. Mimo sugestijności wywodów Oliviera-Hamleta, który dobitnością demoniczną kadencji angielskich strof uwodzi widza i przekonuje do prawd duńskiego królewicza, prawd, które przecież nie istnieją, gdyż umierając Hamlet wciąż nie wie, kim jest. Być może taką igraszką, taką łódęczką na falach historii...



fot. internet

Kadr z filmu „Miasto 44” w reż. Jana Komasy

2.

Stefan miota się między Kamą a Biedronką. I jeszcze matka jest. I efektowne powstanie, po którym krąży bohater filmu „Miasto 44” Jana Komasy. Wygląda, jakby trafił do tego obrazu wprost z filmów Marka Koterskiego o znękanym inteligentach. Jest to jednak częściowo słuszne, bo infantylni inteligenci Koterskiego mają swoje lata, a u Komasy są to po prostu dzieci. I to nie dzieci czasów okupacji, lecz całkiem współczesne dzieci z ulic i galerii handlowych naszego polskiego XXI w. Są zatem zdumieni, że znajdują się nagle w scenerii walących się domów, gwałconych kobiet, padających trupów, bo przecież oni nie chcieli znaleźć się w tym świecie, tak innym od wirtualnej rzeczywistości internetu. Ale Stefan nie ma wyjścia. Musi w tym świecie zaistnieć i przyjąć jego reguły gry. Wejść w powstanie, w pułapki zastawiane przez nacierających Niemców, w przerażenie cywilnego otoczenia, w kanały – i w miłość. Najlepsza w tym filmie jest miłość. Dzięki aktorkom. Właściwie panowie, tj. chłopcy, są zbędni. Stefan też poniekąd czuje się elementem zbędnym, skazanym na pożarcie przez czas, w któ-

rym się znalazł. Miota się więc, jak taka łódeczka, między życiem a śmiercią, nadzieją a zwątpieniem. Nie bardzo wie, kim jest, po co walczy... Po co w ogóle te dziewczyny go kochają. Może po to, żeby oddać życie za Polskę. Ostatecznie do konspiracji i do powstania został wciągnięty przez swoją dziewczynę. A więc jest tu jakiś sens, czy nie? Jest, bo znów jest Warszawa, znów po niej chodzą nastolatki i inni młodzi-niedojrzały: pokolenie następuje po pokoleniu. Jan Komasa zaś kręci film, by pokazać, że on (oni) też pamięta, chociaż urodził się w 1981 r. Chciał jednak niejako ujrzeć, jacy byli jego przodkowie, gdy szli do powstania, szli bez względu na cenę, jaką im przyszło zapłacić. I zobaczył, ale zbyt wąsko, bo to nie byli hysterycy, neurotycy rozmemłani, niedowarzeni emocjonalnie. To byli ludzie piątego roku okupacji, którzy już nie mogli wytrzymać tego okupacyjnego „życia na niby” (K. Wyka). I znów chcieli żyć prawdziwie. Wierzyli, że zwyciężą, bo są nieśmiertelni, jak krzyczą bohaterowie filmu „Jutro idziemy do kina”. Oni byli tak wychowani! Szli do walki jako Kmicice, Wołodyjowscy, a nie mdleli jak Konrady i Kor-



fot. internet

Kadr z filmu „Sala samobójców” w reż. Jana Komasy

diany, nie kluczyli jak Hamlety. Natomiast z filmu Komasy wychodzi na to, że po jednej stronie barykady byli Zygrfydzi, a po drugiej Hamleci, tj. ta druga, neurotyczna, niepewna strona rozdartej duszy Hamletowej. Tymczasem oni nie czuli się bynajmniej zwykłymi ludźmi, czuli się głosem pokolenia (pamiętniki, opracowania historyczne, no i „Kanał”), a nie kostką Rubika jak Stefan, „niby Hamlet”, który nie wie, czy ma być, czy nie być – i w końcu ani jest, ani nie jest. Bohater z niego połowiczny, żeby nie powiedzieć bohater w cudzysłowie. W każdym razie rozproszony. W „Mieście 44” tylko dziewczyny wiedzą, czego chcą. Dlatego nie są Hamletami, zabawkami historii. Bo w Hamlecie, wbrew pozorom, nie ma nic z kobiety. Hamlet to postać-znak zapytania. Typowy mężczyzna, tyle że intelektualista, błakający się w stworzonej przez siebie nierzeczywistości, świecie widziadeł. Hamlet zdumiony, jak Stefan, który wylazł z internetu prosto w realne życie. Z tym wszystkim jest to film znakomity, zrobiony z nerwem. Czuje się, chwilami, że Komasa ma ten słuch, ten „absolutny słuch filmowy”.

3.

Z internetu wypadł też bohater innego filmu Jana Komasy – „Sala samobójców”. Wypadł po to, by popełnić samobójstwo, bo wtedy wróci do wirtualnego świata, gdzie panuje pstrokaczna pseudokultura, którą tak kocha. Gdzie nie ma słów. Są tylko kiczowate obrazy, migot, barokowy-oczny bigos dla niemowląt, à la Spielberg. Problemem bohatera jest to, że wirtualna rzeczywistość staje się substytutem oryginału, zamiast być jego komentarzem, interpretacją. Dla niego być, znaczy zabić się. Co nie dziwi, skoro nadmiar sztucznych światów, internetowych przedstawień, wiedzie, jak sądzi Nicholas Carr w książce *Płytki umysł. Jak internet wpływa na nasz mózg*, do zaniku zwojów mózgowych, bo przestają do mózgu docierać informacje, następuje identyfikacja obserwatora z obserwowanym obiektem – delektacja, ekstaza zastępuje wnikliwość spojrzenia. Bohater podejmuje więc grę (jak Hamlet), w którą został wmanewrowany, w której ma zamiar spełnić się, odnaleźć swoją tożsamość, gdyż nie wie, kim jest, nie może zaistnieć w grupie rówieśniczej, jest niepewny swojej seksualności. Jest jakby

wcieleniem epoki gender. Ma więc cechy wyłączości. Jest przewrażliwiony, więc inny, chociaż chce być jak wszyscy. Podejmuje więc rękawicę i walczy o zaistnienie w grze pt. „Sala samobójców”. I na gest samobójczy się zdobywa: z wątpliwości w pewność, czyli w śmierć.

I wyskakuje Magik przez okno, bo nic już nie ma do powiedzenia sobie, innym... Czyżby? Przecież w filmie „Jesteś Bogiem” Leszka Dawida lider Paktofoniki jest samą energią, nerwem istnienia. Pisze, śpiewa, nagrywa, kocha, ma dziecko. Jest nabuzowany życiem i... raptem skacze, jakby coś się w nim rozerwało, chociaż śpiewał: „Jestem Bogiem/ Uświadom to sobie, sobie/ Ty też jesteś bogiem/ Tylko wyobraź to sobie”. I uwierzyli mu wszyscy: od mięśniaków po studentów. Stał się poniekąd liderem generacji sprzeciwu. Tej, która otwierała XXI w., gdy wyszła pierwsza płyta Paktofoniki – „Kinematograf”. A jednak ta wiara Magika, jak wynika z filmu, była autentyczna tylko gdy śpiewał, unosił się w ekstazie występu i gdy pisał swoje piosenki. Poza tą sferą byli niejacy ludzie (np. menedżer oszust), niejaki krajobrazy, niejaka pogoda, niejaki mieszkania, niejaka miłość. Więc skoro wyśpiewał swoje credo, to mógł odejść. Pozostawił swój znak, a to właśnie znaczy być. Śmierć też znaczy być, ewentualnie, bo cóż po śmierci, nie wie nikt. Mógł sobie powiedzieć: zdobyłem, co zdobyłem i czas odejść. Bo samobójstwo jest też wyborem istnienia – inaczej. Skoro już Magik trafił w „Zwichnięty czas, w przeklętym ja momencie/ Rodziłem się, by leczyć to zwichnięcie” (tł. Wł. Tarnawski), to jednak zniósł ten niejaki dookolny świat, wyśpiewał swój bunt i uleciał grać w innym teatrze. W sferę bogów? Magik w porównaniu z bohaterem „Sali samobójców” to wręcz synonim energii, rozpędzonej do końca, bez względu na konsekwencje. Magik manifestuje to dobitnie od pierwszej do ostatniej sceny filmu. Czy ta interpretacja jest do przyjęcia? Nie wiem. Samobójstwo, każde samobójstwo, to tajemnica, kwestia zawsze niejasna. Niewy-

tłumaczalna, jak życie i śmierć Magika. Jak życie i śmierć Hamleta, postaci wszak literackiej, a jednak do dziś nierozjaśnionej.

Hamlet, Makbet, Juliusz Cezar, Otello, etc. to ekstrawertycy i neurotycy. Krzyczą do wszystkich i dla wszystkich, bo naprawdę wierzą, że świat jest teatrem pełnym wściekłości i wrzasku. Zaplątani na tej scenie ukazują swoje zranione wnętrza. Taka właśnie była ekspansywna epoka elżbietańska. I taka jest nasza epoka, w której ludzie spowiadają się z rozmaitych uczuć w internecie, niektórzy nawet relacjonują, jak to chorują, jak krok po kroku umierają... Też jak Hamlet, który duchy widywał w swym wewnętrznym renesansowym internecie. I tacy też są bohaterowie większości filmów polskich ostatnich lat – i tych wyżej wymienionych, i innych, np. „Jestem twój”, „Wojna polsko-ruska”, „Erratum”, czy ostatnio „Oniryka”, w której być to tyle, co spać (wraz z widzami!).

Ale współczesnych bohaterów łączy z Hamletem coś jeszcze. Hamlet rozgrywa siebie, a nie sytuację. Nie patrzy z boku, lecz od wewnątrz, bo jest takim Makiawelem na opak, jak bohaterowie współcześni, którzy gubią się w sytuacjach wymagających „czujnego” rozeznania, a nie wszechobecnego dziś ekshibicjonizmu. Przecież takie zwykłe życie to też swego rodzaju polityka, a ta nie znosi obnażania się, woli kuluary, zakamarki. Ekshibicjonizm prędzej czy później przegrywa, bo jak długo można rozdierać szaty, biadolić, żalić się nad sobą? W maski innych się ubierać? Trzeba rozgrywać sytuację, a nie siebie. Siebie lepiej zostawić na deser. Inaczej pozostanie tylko lęk, błąkanie się w nocy polarnej.

Albo, albo – jak mawiał Kierkegaard, Hamlet to jednak taki pan Hanta, taki mitoman, czyli baron Münchhausen, oszust autentyczny. Kto wie?

Grzegorz Sasin

Idzie...

Marta Wiktoria Trojanowska

Może zdjęcie panience?

Był słoneczny dzień. Fotograf trochę przeświecił fotografię – skąpany w słońcu chodnik, zbyt jasne marynarki, dwie kobiety w sukienkach tak białych, że prawie ich nie widać. I pan, który nie zmieścił się na fotografii, zajęty rozmową z tym drugim, dobrze widocznym. Zaraz jeden z nich odjedzie na rowerze, dwójka dzieci (tak, idą po drugiej stronie ulicy) skryje się w chłodnej bramie, a ona wyjdzie z kadru i pójdzie prosto przed siebie. Ale na zdjęciu wciąż idzie, poważna, elegancka, piękna. Talia osy, misternie upięte włosy, w rękawiczkach na smukłych dłoniach, choć lato tuż-tuż...

W starym, zniszczonym albumie, który akurat przeglądam, znajduję kilkanaście podobnych fotografii. Miała ich wyjątkowo dużo. Na każdym idzie ulicą. Zmieniają się pory roku, miasta, szyldy, przechodnie, a ona idzie. Przez życie, przez album... Odnoszę wrażenie, że zatrzymuje się tylko na chwilę, aby wziąć z ręki fotografa karteczkę z adresem, gdzie odebrać zdjęcie...

*

Proszę pani! A może pani fotografię na wieczną pamiątkę?

Kolejny kadr. Słońce właśnie schowało się za chmurami, ale to nic, dzień i tak będzie piękny. Na pewno już lato. Zdjęła rękawiczki, pełne buty zmieniła na wygodne trzewiki. Kilka sekund temu minęła kobietę w białej, letniej sukience. Za chwilę wyprzedzi ją para z wózek. On w wojskowym mundurze, ona w kwiecistej sukience. Miną ją na pewno, bo i teraz zatrzymać się musi, aby odebrać karnecik z adresem zakładu. Na starej fotografii dziecięcy wózek dogania ją jednak jak nieśmiała zapowiedź tego, co się kiedyś stanie,

bo wpisane jest już od dawna w jej wędrówkę. Ale na razie jest lato, można zdjąć rękawiczki, a na nic w życiu nie jest jeszcze za późno...

*

Tak ładnie państwo wyglądają razem, może fotografię?

Uśmiecha się! Pierwszy raz się uśmiecha! Na poprzednich zdjęciach poważna, trochę nawet wyniosła, teraz zawołanie pana fotografa wywołuje uśmiech na twarzach obojga. Choć lato dawno się skończyło, smukłe dłonie znowu ukryte w rękawiczkach, a elegancka bluzka z ozdobnym kołnierzem przykryta zgrabnie skrojonym żakietem, uśmiecha się. Już nie panna, a pani, już nie pani, a państwo. Skąd wiem? Bo przychodzą z pomocą pozostałe fotografie. Wędruję ich śladem, jak ona wędruje po ulicach miasta; najpierw sama, potem z ukochanym, a potem – zgodnie z dobrym znakiem na pierwszej fotografii – dziećmi i rodziną. Jej życia nie trzeba nawet odgadywać. Idzie, a uliczny fotograf utrwala wędrówkę... Kiedy patrzę na parę ze zdjęcia, przypominają mi się przewrotne wersy noblistki:

Sądzą, że skoro nie znali się wcześniej,
nic między nimi nigdy się nie działo,
A co na to ulice, schody, korytarze,
na których mogli się od dawna mijać?

*

Dużo jest takich przedwojennych zdjęć. Poszukajcie w starych rodzinnych albumach; popatrzcie, dokąd szli i z kim szli przez życie wasi pradziadkowie. Po jakich ulicach... I kogo mijali... Znajdziecie je na pewno, była taka moda. Fotograf zaczepiał ludzi idących ulicą, robił zdjęcie i dawał kartonik z adresem zakładu, w którym można było odebrać fotografię.



fot. archiwum autorki

Taka spacerowa fotografia była przed wojną bardzo popularna. Nie tylko na ulicach, ale i w miejskich parkach, miejscach wypoczynku. Całe rodziny i same kobiety, zacne matrony, mężczyźni w mundurach, przestraszone dzieci i piękni młodzieńcy... Te pamiątkowe fotografie utrwały jednak nie tylko ich, ale i samo miasto. Stare ulice, przygodnych mieszkańców. Kiedy wpatrzyć się dobrze w te niedzielne zdjęcia, widać mnóstwo innych twarzy i przypadkowych historii. Ktoś pozostał wyraźny, a ktoś właśnie wyszedł z kadru, i nie ma możliwości zawrócić.

Ale także po wojnie uprawiano uliczną fotografię. Zygmunt Sobień, nestor radomskiej fotografii, pamięta człowieka, który zaczął ludzi miejskim parku w Radomiu: „Stał na alei. Zwykle to był fotograf z zakładu. Zaczepił mnie i kolegę. Zrobił nam zdjęcie. Płaciło się z góry. Nawet patrzyłem ostatnio, czy to miejsce, w którym robił nam zdjęcie, bardzo się zmieniło. Miejsce jest, fotografia zginęła...”. O przedwojennych fotografów ulicznych nie ma już niestety kogo zapytać. Brakuje świadków, zostały tylko niesygnowane zdjęcia...

Układałam więc uparcie ze znalezionych fotografii historię pięknej kobiety w skórzanych rękawiczkach. Zachowały się zdjęcia robione o różnych porach roku. Te zimowe, w kożuchach z lisimi kołnierzami, trochę ciemne i smutne, jedno poruszone... I te letnie... Te lekkie, kiedy można było założyć trzewiczki, i kiedy na nic nie było za późno, a cel wędrówki jeszcze zupełnie daleki.... Idzie... A ja składam jej życie z kilku fotografii... A kiedy zamykam zniszczony album, niemalże słyszę ten cichy, przewrotny śmiech Wisławy, gdy pisała:

Jeszcze nie całkiem gotów
zamienić się dla nich w los,
zbliżał ich i oddalał,
zabiegał im drogę
i tłumiąc chichot
odskakiwał w bok.

Marta Wiktoria Trojanowska

W walce z Moskalami i... cholera

Janusz Wieczorek

Walenty Ronthal urodził się w Krakowie w rodzinie mieszczańskiej w lutym 1800 r. Ukończył elitarne, znane z wysokiego poziomu nauczania i tradycji patriotycznych Gimnazjum Nowodworskie (późniejsze Gimnazjum św. Anny), a następnie podjął studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończył w 1828 r. Po obronie pra-

cy doktorskiej z zakresu okulistyki uzyskał stopień doktora medycyny i chirurgii. Chcąc pogłębić swoją wiedzę medyczną, wyjechał do Wiednia. Do Krakowa powrócił po ponadrocznym pobycie w stolicy cesarstwa. Nie zabawił tu długo, podjął bowiem życiową decyzję – opuścił rodzinne miasto i udał się do Szydłowca. Dlaczego porzucił wielki świat i dobrze zapowiadającą się karierę medyczną, by rozpocząć praktykę lekarską na prowincji? Co się stało, że z narażeniem życia przedarł się przez graniczne kordony, by osiąść w liczącym niespełna 3 tys. mieszkańców mia-

steczku? Trudno powiedzieć. Nie wykluczam, że przyczyną tej decyzji była kobieta, młodsza od niego o osiem lat Emilia, przyszła żona i wierna towarzysza życia lekarza. Pochodziła ze znakomitego rodu Duninów-Szpotów, właścicieli licznych posiadłości w rejonie Przysuchy i Przytyka, a więc w pobliżu Szydłowca.



fot. archiwum autora

Po wybuchu powstania listopadowego Wincenty Ronthał został lekarzem 5. Pułku Weteranów Czynnych. Walczył i wyróżnił się w bitwach pod Grochowem, Dębem Wielkim i Ostrołęką. Z powodu odniesionych ran został przeniesiony do szpitala w koszarach Gwardii Koronnej w Warszawie, a następnie do lazaretu w twierdzy modlińskiej. Na początku lipca 1831 r. w uznaniu zasług na polu walki i działalności medycznej został mianowany lekarzem sztabowym i otrzymał Złoty Krzyż Virtuti Militari.

Po upadku powstania młody jeszcze lekarz i weteran walk powstańczych stanął przed poważnym dylematem. Emigracja? Powrót do rodzinnego Krakowa? Czy też osiąść w Królestwie Polskim i powrócić do ukochanego Szydłowca? Dylemat był poważny, zwłaszcza w obliczu carskich represji, jakie spadły na Polaków po przegranym powstaniu. Wydaje się, że i tym razem zadecydowały względy osobiste, chociaż cena tego wyboru była olbrzymia. Walenty Ronthał, tak jak wielu uczestników powstania, musiał złożyć przysięgę na wierność carowi. By uzyskać zezwolenie na praktykę lekarską na terenie Królestwa Polskiego, musiał też przystąpić do egzaminu przed specjalną Radą Lekarską. Egzamin zdał, ale władze carskie nie mogły mu darować powstańczej przeszłości i przyznały mu bardzo niski stopień lekarza trzeciej klasy; w urzędowych spisach lekarskich aż do 1854 r. wymieniany był jako lekarz tej rangi.

Pod koniec 1831 r. powrócił do Szydłowca, gdzie otworzył prywatną praktykę lekarską. Pracował też jako lekarz huty żelaza w dobrach Sołtyków w pobliskich Chlewiskach. W 1849 r. został mianowany lekarzem miejskim. Obowiązki te pełnił z poświęceniem jako jedyny lekarz w tej ludnej i przemysłowej okolicy, walcząc z epidemią tyfusu plamistego i cholery, która wybuchła na tym terenie w latach 1852 i 1856. Jego zasługi w zwalczaniu epidemii były olbrzymie. Został z tego

powodu doceniony, otrzymał podziękowanie od Rządu Gubernialnego Radomskiego, Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, duchowieństwa Królestwa Polskiego i mieszkańców Szydłowca.

Jego patriotyczne przekonania dały o sobie znać również w czasie powstania styczniowego. Jako starszy już człowiek wspierał czynnie powstańców i z narażeniem życia udzielał im pomocy materialnej i chirurgicznej. Po przejściu na emeryturę w 1876 r. przeniósł się do Radomia.

Walenty Ronthał był postacią wyjątkową. Jego wiedza medyczna, społecznikowska pasja oraz głęboki patriotyzm znane były nie tylko w Szydłowcu i okolicy, ale również w całej Guberni Radomskiej. O jego popularności i olbrzymim autorytecie świadczyć może fakt, że w 52. rocznicę pracy zawodowej lekarze, aptekarze oraz weterynarze Radomia i powiatu radomskiego zorganizowali podniosłą uroczystość, podczas której uczcili jubilata, przekazując sporą kwotę na Kasę Wsparcia Podupadłych Lekarzy oraz Wdów i Sierot po Lekarzach Pozostałych, której dr Ronthał był członkiem i gorącym propagatorem. Rok przed śmiercią Towarzystwo Lekarskie Warszawskie w uznaniu zasług mianowało doktora swoim honorowym członkiem.

Zmarł w 1883 r. w Radomiu, pochowany został na cmentarzu przy Trakcie Starokrakowskim (obecnie ul. Limanowskiego), obok spoczywa żona Emilia. Małżeństwo Ronthałów miało dwóch synów. Starszy Jan zmarł w 1842 r., młodszy, urodzony w 1852 r., był aptekarzem w Warszawie. Nagrobek małżeństwa Ronthałów wymaga pilnych prac konserwatorskich.

Janusz Wieczorek



fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

Tadeusz Wydra, radomianin, który regularnie czytał „Miesięcznik Prowincjonalny” chyba na równi z przyjaźni do nas, co i z ciekawości świata. Był absolwentem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu (obecnego Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego), przez wiele lat pracował w Warszawie, choć nigdy nie rozstał się z Radomiem, zawsze czuł się związany ze swoim miastem rodzinnym i wiele dla Radomia zrobił. Zmarł 25 marca 2013 r. 18 maja br. odsłonięta została w gmachu Ministerstwa Finansów, w sąsiedztwie jego dawnego gabinetu tablica pamiątkowa. Treść tablicy, w paru słowach, przedstawia działalność Tadeusza, poprzestaniemy na tej skrótovej informacji, choć można by temu tematowi poświęcić obszerny tekst. Zapewne tekst taki powstaje właśnie w zbiorowej pamięci jego znajomych, przyjaciół i współpracowników.

Redakcja

KRONIKA

kwiecień–maj 2015

Iłża

1.04.2015. W galerii Domu Kultury otwarto wystawę prac ilżeckiego plastyka Norberta Jastalskiego „Rzeźba, Rysunek”. Ekspozycja jest odwzorowaniem wizerunków Męki Pańskiej wykonanej dla kościoła w Dyrdach na Śląsku.

2–3.05.2015. Zamkowe wzgórze, jak co roku o tej porze, stało się areną walk rycerskich i pokazów średniowiecznych zwyczajów. Wszystko to w ramach XVIII Turnieju Rycerskiego.

Kozienice

16.05.2015. W Muzeum Regionalnym zorganizowano Noc Muzeów 2015 po japońsku. W programie imprezy był wernisaż wystawy kaligrafii i malarstwa tuszowego (Sumi-e) Lecha Żurkowskiego, prezentacja lalek Hina-nin-gyo z kolekcji Zespołu Pieśni i Tańca „Lublin”, warsztaty kaligrafii, ceremonia herbaciana, wykład o malarstwie tuszowym.

22.05.2015. W Domu Kultury odbyło się otwarcie wystawy malarstwa kozienickiego artysty Sławomira Zawadzkiego.

Orońsko

18.04.2015. W Centrum Rzeźby Polskiej otwarto dwie wystawy. W galerii „Kaplica” wystawę w ramach projektu „Pole narcyzów” – Andrzej Bednarczyk „Rytuał Narcyzów” oraz odbył się performance Prince Negatif CECI N’EST PAS UN CORPS, a w galerii „Oranżeria” wystawę ze zbiorów Muzeum im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni – Bolesław Biegas „Księga życia”.

25.04.2015. W Muzeum Rzeźby Współczesnej w Centrum Rzeźby Polskiej otwarta została wystawa Adama Myjaka „Rzeźba”.

Przytyk

3.05.2015. W kościele Podwyższenia Krzyża Świętego odbyła się rekonstrukcja historyczna ślubu Jana Kochanowskiego z Dorotą Podlódowską. Była to część imprez kulturalnych i rekreacyjnych przytyckiej majówki.

Radom

10.04.2015. W Ośrodku Kultury i Sztuki „Re-sursa Obywatelska” otwarto wystawę fotografii Anity Lipiec „Narodziny Gwiazdy”.

11.04.2015. W Czytelni Kawy wystąpił zespół Stardust Memories i Henry David’s Gun (Wawrzyniec Dąbrowski).

11.04.2015. Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łaźnia” gościł białoruską pieśniarkę Olę Zalesską. Koncert w jej wykonaniu był zatytułowany „Wiosenna miłość – piosenki, romanse”.

13.04.2015. W Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łaźnia” odbyła się promocja książki *Dzień po dniu z muzyką Seweryna Krajewskiego*. Autorka, Ewa Derlatka, pochodzi z Iłży, obecnie mieszka w Radomiu. Jest dziennikarką, współpracuje z mediami ogólnopolskimi.

17.04.2015. Re-sursa Obywatelska zaprosiła na promocję albumu Katarzyny Posiadały *Jacek i Rafał Malczewscy*.

17.04.2015. W Muzeum Wsi Radomskiej otwarto dwie wystawy. W Domu Ludowym zaprezentowano „Przegląd twórczości artystów nieprofesjonalnych regionu radomskiego”. Druga wystawa podsumowuje plener malarski studentów Wydziału Sztuki oraz Wydziału Materiałoznawstwa, Technologii i Wzornictwa UTH w Radomiu. Plener odbywał się w radomskim skansenie.

18.04.2015. W „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbyły się XXVIII

Radomskie Spotkania z Poezją. Głównym organizatorem imprezy było Stowarzyszenie Grupa Literacka „Łuczywo”. W ramach spotkań zorganizowano warsztaty poetyckie i ogłoszono wyniki Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Stanisława Grochowiaka.

20.04.2015. W Katolickim Liceum Ogólnokształcącym im. św. Filipa Neri promowana była książka Elżbiety Orzechowskiej *Wojenne dzieciństwo. Wspomnienia*, wydana przez IPN Oddział w Lublinie.

21–25.04.2015. Miejska Biblioteka Publiczna zorganizowała 38. Radomską Wiosnę Literacką. Odbyły się spotkania z Jenny Robertson, Anną Janko, Magdaleną Tulli oraz twórcami z Radomia: Teresą Opoką, Grzegorzem Bartosem, Pawłem Podlipniakiem, Wojciechem Krupą.

22–25.04.2015. Ośrodek Kultury i Sztuki „Re-sursa Obywatelska” był organizatorem VII Spotkania z Kulturą Żydowską „Ślad”. Partnerami przedsięwzięcia byli: Stowarzyszenie Żydowskie Motywy – Jewish Motifs Association, GALICJA – ŻYDOWSKIE MUZEUM, VI Liceum Ogólnokształcące im. Jana Kochanowskiego, Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 4.

24.04.2015. Archiwum Państwowe w Radomiu zaprosiło na otwarcie wystawy „Z rodzinnej szuflady”.

24.04.2015. W „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto pierwszą część wystawy „Ciało – Zbigniew Bajek / Izabela Biela” z cyklu „Pracownie – Konfrontacje”.

25–26.04.2015. Dom Kultury „Idalin” po raz kolejny zaprosił na Złot Modularzy Kolejowych.

1–3.05.2015. Muzeum Wsi Radomskiej zorganizowało festyn „Pali się! Majówka ze strażakiem Waldkiem”.

3.05.2015. W Muzeum Wsi Radomskiej otwarto wystawę „Przestrzeń oswojona. Zdobnictwo architektoniczne. Dekoracja w wiejskiej izbie”.

8.05.2015. W „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się koncert aktora Piotra Machalicy, któremu towarzyszyli na gitarach akustycznych Michał Walczak i Krzysztof Niedźwiecki, a na harmonijce ustnej Adam Machalica. Recital był zatytułowany „Koncert na 25-lecie... bynajmniej” i zapowiadał mający rozpocząć się za tydzień Turniej Śpiewających Poezję.

9.05.2015. W sali koncertowej im. Krzysztofa Pendereckiego w Zespole Szkół Muzycznych odbył się koncert z okazji 35-lecia działalności pedagogiczno-artystycznej Ewy Gęgi-Ossowskiej oraz 20-lecia Zespołu Muzyki Dawnej „Basso Continuo”.

15.05.2015. W Zespole Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta otwarto wystawę pokonkursową VII Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego Ekslibris – Antyczny pierwiastek w twórczości Jacka Malczewskiego. Grand Prix konkursu zdobyła uczennica z Radomia.

15.05.2015. W Zespole Szkół Muzycznych odbyła się kolejna V Bitwa Big-Bandów. Zmierzyły się ze sobą Big-Band ZSM z Radomia pod batutą Dariusza Krajewskiego oraz Big-Band z Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Gdańsku pod batutą Jana Konopy. Licznie przybyła publiczność ogłosiła remis.

16.05.2015. W sali koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych odbył się koncert akordeonowy w wykonaniu Jurija Szyszkina & Harmonium Duo.

21–23.05.2015. Koncertem zespołu Mixtura na scenie przy fontannach rozpoczęły się tegoroczne Dni Godności. Impreza trwała trzy dni i jak zawsze była zorganizowana przez MOK „Amfiteatr”.

22.05.2015. W Teatrze Powszechnym odbyła się ostatnia w sezonie premiera. Pokazano spektakl zatytułowany „Niepodobnym obyczajem”, którego scenariusz skonstruowano z różnych utworów Jana Kochanowskiego, w reżyserii Andrzeja Sadowskiego.

22.05.2015. W „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii przy ul. Traugutta otwarto II część wystawy „Ciało” z cyklu: „Pracownie – Konfrontacje. Zbigniew Bajek / Zuzanna Gajos”.

23.05.2015. W OKiS „Resursa Obywatelska” koncertował Piotr Bukartyk, znany kabareciarz, tekściarz, bard.

23.05.2015. Wszystkie radomskie muzea włączyły się w organizację Nocy Muzeów. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarto wystawę „Secesja. Młoda Polska – Kobieta. Uroda, ubiór, codzienność”. „Elektrownia” zaprosiła na wernisaż wystawy „Język geometrii – półwiecze przemian” oraz na happening „I Publiczny Zachód Słońca w Radomiu”. W skansenie bawiono się na zabawie ludowej „Pod Dębem” oraz zwiedzano przygotowaną na tę okoliczność wystawę „Tańce polskie. Malarstwo Katarzyny Chodoń”.

23.05.2015. Radomska Orkiestra Kameralna zagrała koncert złożony z utworów Mozarta, zatytułowany „Amadeusz”. Jako solista wystąpił skrzypek Robert Kwiatkowski. Orkiestrę poprowadził Andrzej Kosendiak.

25.05.2015. W sali NOT odbył się koncert Pati Cze, czyli Patrycji Kawęckiej-Czerskiej z big-bandem Mundana, którym dyrygował Zbigniew Bidziński. Był to piąty koncert z cyklu „Radomscy muzycy z big-bandem Mundana”, którego organizatorem jest MOK „Amfiteatr”.

25.05.2015. W Muzeum Sztuki Współczesnej otwarta została wystawa „O polskich buntach w czasach PRL-u w sztuce Edwarda Dwurnika i trzydziestu innych artystów. Prace z kolekcji Muzeum”. Odbyło się też spotkanie z Edwardem Dwurnikiem. Współorganizatorem imprezy był OKiS „Resursa Obywatelska”, który w ten sposób zainaugurował VII Radomski Festiwal Filozofii „Okna”. Gośćmi festiwalu byli także Agnieszka Kołakowska i Bronisław Wildstein.

26.05.2015. W „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii przy ul. Żerom-

skiego otwarto wystawę „Naczelnik państwa i marszałek Polski Józef Piłsudski (1867–1935). Uroczystości pogrzebowe marszałka Józefa Piłsudskiego 1935–1936”.

Szydłowiec

23.05.2015. Z okazji Międzynarodowej Nocy Muzeów Szydłowieckie Centrum Kultury i Muzeum Ludowych Instrumentów Muzycznych zorganizowały „Noc na Zamku”. Pośród licznych atrakcji znalazł się wernisaż wystawy prac Tomasza Wałęgi, spektakl – Benefis Szydłowiecki – „Wiosna kobiety po przejściach”, koncert „U źródeł – inspiracje”.

Wsola

8.04.2015. Muzeum Witolda Gombrowicza zorganizowało dyskusję „Gombrowicz i historia”, której uczestnikami byli prof. Andrzej Zieniewicz z UW, prof. Krzysztof Kłosiński i dr Filip Mazurkiewicz oraz prof. Józef Olejniczak z UŚ. Było to pierwsze z cyklu wydarzeń towarzyszących premierze „Operetki” przygotowanej przez Warszawską Operę Kameralną.

Zwoleń

27.04.2015. W parafii rzymskokatolickiej pw. Podwyższenia Krzyża Świętego odbyła się inauguracja Szlaku Rodu Kochanowskich – projektu związanego z rodziną Kochanowskich, miejscowościami i świątyniami, w których byli przez wieki obecni.

Budżet obywatelski 2016

Oddaj swój głos!

Zmieniaj swoje miasto!

Wśród wniosków, które przeszły pozytywną weryfikację, znalazło się sześć projektów dotyczących biblioteki. Zwracamy się z serdeczną prośbą o głosowanie na te projekty. Można to zrobić także drogą elektroniczną, nie wychodząc z domu. Od 10 czerwca do 10 sierpnia 2015 roku jest już dostępna platforma przeznaczona do głosowania na projekty w budżecie obywatelskim. Aby dokonać głosowania, należy wejść na stronę:

<https://konsultacje.radom.pl/page/>

zarejestrować się

otworzyć zakładkę **GŁOSOWANIE**.

Na karcie do głosowania należy zaznaczyć projekty, które dotyczą biblioteki. Są to numery:



Karta głosowania



Obszar I

2. Nowe książki dla bibliotek - powiększenie księgozbiorów filii nr 6, 8, 7, 10.

☐ 0 punktów ☐ 1 punkt ☐ 0 punkty ☐ 3 punkty ☐ 4 punkty ☒ 5 punktów

Głosuj

18. Wykonanie ogrodzenia posesji Biblioteki

☐ 0 punktów ☐ 1 punkt ☐ 0 punkty ☐ 3 punkty ☐ 4 punkty ☒ 5 punktów

Głosuj

Obszar II

2. Nowe książki dla bibliotek - powiększenie księgozbiorów filii nr 14, 15.

☐ 0 punktów ☐ 1 punkt ☐ 0 punkty ☐ 3 punkty ☐ 4 punkty ☒ 5 punktów

Głosuj

Obszar III

2. Nowe książki dla bibliotek - powiększenie księgozbiorów filii nr 9, 12, 16.

☐ 0 punktów ☐ 1 punkt ☐ 0 punkty ☐ 3 punkty ☐ 4 punkty ☒ 5 punktów

Głosuj

Obszar IV

5. Nowe książki dla bibliotek - powiększenie księgozbiorów filii nr 3, 4.

☐ 0 punktów ☐ 1 punkt ☐ 0 punkty ☐ 3 punkty ☐ 4 punkty ☒ 5 punktów

Głosuj

Obszar V

1. Nowe książki dla bibliotek - powiększenie księgozbiorów filii nr 1, 2.

☐ 0 punktów ☐ 1 punkt ☐ 0 punkty ☐ 3 punkty ☐ 4 punkty ☒ 5 punktów

Głosuj



MAZOWSZE



ARMAS



radom

sila w precyzji



Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

SPRZEDAŻ

KUPNO

ZARZĄDZANIE



ZAPRASZAMY

Rewitalizacja Sp. z o.o.

Radom ul. Mała 3,

tel. /fax (48) 383 08 55

www.rewitalizacja-radom.pl